Nr. 4. Poznań, dnia 28 Stycznia 1906 r. Rok X.

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 4-go.

ODEZWA

Członkom Tow. Wyborczego zwracamy uwagę, iż woźny naszego Towarzystwa będzie zbierał składki na cele wyborcze na rok bieżący na Wildzie na następujących ulicach: Następcy tronu, Małgorzaty, Hohenlohego, Pierścieniowa (Ringstr.). Nowa Rycerska, Szwajcarska, Różowa, Kluczborska i Strumykowa. — Woźny jest zaopatrzony w odpowiednią legitymacyą. Również przyjmuje kandydatów na członków. Upraszamy członków jak i kandydatów, aby woźnemu żadnych trudności nie czynili. Składki na cele wyborcze są bardzo potrzebne, gdyż w tym roku czekają nas wybory do rady miejskiej.

Zarząd Towarzystwa Wyborczego na miasto Poznań.

Józef Kużaj, przewodniczący. Stefan Chociszewski, sekretarz.
M. Powidzki, skarbnik.
J. Drwęski, Marcin Kaniasty, Antoni Teski, zastępcy.

Społeczeństwo i prasa

do tej chwili nie może jeszcze się uspokoić utratą Kotowiecka i Mielżyna. Bo też zaiste straty te przypadły w chwili, kiedy jeszcze nie ukończyliśmy wzajemnych noworocznych życzeń — szczęścia i powodzenia.

Kotowiecko i Mielżyn — to szyderstwo z tych życzeń naszych, to twarde uderzenie obuchem o rozmarzoną głowę i do lepszych dni wzdychającą pierś naszą.

Przypomniało to nam na wstępie roku — w brutalny sposób — nasze obowiązki względem ziemi i narodu, a pierwszym z tych obowiązków, to czuwać na straży zagrożonych naszych dóbr. Pamięć tę trzeba utrwalać, trzeba ją bólem wryć w mózg nasz, by tam się nie zatarła.

Czem to uczynić możemy?

W pierwszem rzędzie obszernem rozbieraniem przyczyn każdej z pojedyńczych strat.

Pamiętamy, że kiedy na ukończenie żniw w przeszłym roku prasa narodowa podniosła głos przestrogi przeciwko kupczeniu, kiedy zaczęła zwracać uwagę na różne konszachty rozpoczynającej się szacherki o ziemię, kiedy tu i owdzie szarpnęła — nie w złej woli honor ludzi niewinnych, zaczęto się burzyć na nią, zaczęto podnosić głos, że prasa przekracza granicę praw jej przysługujących.

Nie pomagały takie argumenty, że łatwiej wrócić jednostce cześć naruszoną jak narodowi morgę ziemi zaprzedaną komisyi kolonizacyjnej — społeczeństwo wydawało się znużone temi napomnieniami, nawoływaniami, pragnęło — zdaje się — spokoju.

Czyżby już znużone było walką?!

W tem — Kotowiecko i Mielżyn — przypomniało mu zgrozę położenia.

Od razu zmienia się wygląd społeczeństwa. Oburzenie, ból, łzy, gniew — oto wyraz, jaki dziś wyryty jest na obliczu tych, którzy niedawno obruszali się na słuszne czy niesłuszne donosy prasy.

Niestety po tylu przejściach i stratach, po tylu doświadczeniach, choć wierzymy w szczerość tego bólu, łez i gniewu, to trudno nam uwierzyć w jego *trwałość*, trudno nam uwierzyć, by zrodził się zeń: czyn rozważny i spokojny, mogący się przyczynić do akcyi ratunkowej.

Ktoś w jakiemś piśmie podniósł głos, by sprzedawczykom stanowczo — nie podawać ręki. Nie wymieniamy pisma i nie wymieniamy autora tej propozycyi, bo doprawdy wstyd nas, że głos ten tylokrotnie podnoszony — nie znalazł posłuchu.

Ale czy jest to środek istotnie zapobiegawczy sprzedawczykostwu? Nie możemy go za taki uważać. Bo gdyby głos owego obywatela znalazł posłuch, to byłby to dowód pewnego poczucia honoru, może objaw — moralnego zdrowia tej części społeczeństwa, która ziemi swej obcym dotąd nie sprzedała. Czyby dla tego ulękli się frymarki ziemią inni w przyszłości? — Powątpiewamy.

Jakiż więc może być środek zaradczy? Jest jeden tylko — a polega on na sposobie *wychowania* tych, którzy ziemię znajdującą się w polskiem ręku dziś — odziedziczą w przyszłości. Wychowanie to od dziecięcych lat musi być owiane — duchem narodowym. A czy tak się chowają przyszli dziedzice i dziedziczki ziemi polskiej?

Niech na pytanie to sumiennie odpowiedzą ci, którzy dziś posiadają ziemię jeszcze i chcieliby, by synowie

po nich zatrzymali ją w swoim ręku i oddali ją wnukom i prawnukom.

A niech przestrogą im będzie smutny przykład ś. p. Józefa Morawskiego posiadającego opinię patryoty, którego dzieci — nie wnuki wcale — ale dzieci zaprzepaściły Kotowiecko — z rozmysłem, jak wynika to z różnych wiadomości, które wyszły na jaw — po subhaście.

I tak starano się w pewnej części prasy wciąż o obronę pp. Morawskich — synów niebożczyka dyrektora landszafty, gdyż podobno obiecali p. Biedermannowi 100 tysięcy, jeżeli on Kotowiecko kupi.

„Goniec Wielkopolski" otrzymał z okolicy Kotowiecka wiadomość, że uwierzy to chyba ten, kto pierwszy raz słyszał o Kotowiecku, bo „jeżeli p. *Olschówka nie chciał* się zgodzić na zniesienie subhasty, to tak samo i pp. *Morawscy nie potrzebowali* się godzić na subhastę.

Sprawę owych 100 tysięcy tłomaczy korespondent tak: Ofiarowano je p. Biedermannowi z obawy, by Polacy nie odstąpili od licytacyi, liczyli jednakże na to, że kolonizacya Kotowiecka nie puści.

Wygląda to zatem na ohydny fortel licytacyjny, na szachrajstwo najgorszego rzędu.

Słuszność zdaje się należy przyznać korespondentowi „Gońca", który na końcu tak pisze:

„Jeżeli pp. Morawscy ofiarowali 100 000 marek panu Biedermannowi na pobicie kolonizacyi, to jest jasnem, jakiego celu chcieli dopiąć! 100 000 mogli byli tylko p. Olschówce ofiarować, a z pewnością sprawa Kotowiecka inaczej byłaby się skończyła.

Umycie rąk Piłata!"

Argument ten jest bardzo jasny i przekonywający.

Wobec tego wierzyć należy także słowom „Orędownika", który powiada, że społeczeństwo zadrżałoby ze zgrozy, gdyby się dowiedziało o wszystkiem, co się przez rok nieomal działo za kulisami rodziny Morawskich!

Smutne to niesłychanie.

„Dziennik Berliński" dowiedział się niektórych z tych szczegółów i podaje ich wiązankę pod tytułem „Skandal Kotowiecki". — Podajemy z nich następujące:

Kotowiecko pozostało dla spadkobierców, Pawła i Ignacego Morawskich, p. Puławskiej z Królestwa, córki p. Suffczyńskiej z Morawskich i p. Olschówki, z domu Róży Morawskiej.

Trzech dalszych spadkobierców spłaconych zostało za życia ś. p. Józefa Morawskiego. Tymczasem dzięki podniesieniu się cen ziemi podnosi się wartość Kotowiecka. Korzystają z tego spłaceni spadkobiercy i wytaczają proces o przyłączenie ich do części spadku.

Proces jeszcze nie zakończony, ale widocznie ma widoki powodzenia, bo jeden z owej trójki — odstąpił swoją część — *agentowi komisyi kolonizacyjnej!*

Układy o ugodę spadkową toczyły się tak, że uprawniają do podejrzenia, że chęci do zgody nie było, lecz *chciano* raczej Kotowiecko — przefrymarczyć. Zgodzono się więc na subhastę, a społeczeństwo tymczasem mamiono widokami porozumienia.

Największą hipokryzyą odznaczyła się przytem p. Olschówka. Znany n. p. jest fakt, że na zaklęcia miejscowego księdza proboszcza, by nie pozwoliła na zaprzepaszczenie Kotowiecka, na jego odwołanie się do jej patryotyzmu, — uderzyła się po kieszeni i z cynizmem dodała: tu mój patryotyzm. Jej mąż, p. Olschówka po skończonej subhaście przystąpił do Kronheima, agenta komisyi kolonizacyjnej i *winszował* mu kupna!

Pani Suffczyńska i jej córka taką pałały chciwością, że odrzucały wszelkie propozycye zgody, skoro słyszały, że choćby 1 markę więcej od kogoś innego mogą dostać.

Dziwnie też bronili „Kotowiecka" p. p. Morawscy. Dali oni plenipotencyę p. Dr. Kusztelanowi, dyrektorowi Banku Związku Spółek Zarobkowych na 840 tysięcy marek. To im nie wystarczało i udali się do p. Biedermanna. Tu postąpili o 100 tysięcy mrk. jeszcze. Z plenipotencyi odniósł „Dziennik Berliński" — wrażenie, „że ci, co ją dawali, z góry liczyli się jako z faktem, że Kotowiecko ostatecznie nabędzie kolonizacya. Nie szkodzi więc, że da jak najwięcej. Dobrze będzie, gdy Kotowiecko nabędzie p. Biedermann, ale jeszcze lepiej, jeżeli go nie kupi".

Chodziło więc i pp. Morawskim o najwyższą cenę, którą chcieli przez to wybić, że sami — postarali się o licytantów Polaków.

Od tej nędzy moralnej odbija dziwnie fakt, że Niemiec, baron v. Lekow dość wysoko licytował, a zapytany, dla czego to czyni, odpowiedział, że *nie chce sąsiadować z kolonistami osiedlonymi przez komisyę kolonizacyjną.*

Jakże ten Niemiec czujący wstręt do kolonistów niemieckich zawstydza tych obywateli Polaków, którzy na podaną przez p. dr. Kusztelana cenę 900 tysięcy marek — chórem zawołali: *przepłacone*-

Czy to nie stek zgnilizny i sobkostwa !

To też słuszną wydaje się uwaga „Orędownika, że:

„W społeczeństwie naszem nie brak elementów, dla których sprawa narodowa niczem nie jest, które za pieniądze wszystko sprzedadzą. *Tacy już byli i tacy jeszcze są, a na Kotowiecku i Mielżynie nie zakończy się ich rejestr.* Dla tego nie jesteśmy jeszcze moralnymi wyrzutkami między narodami. W wszystkich narodach znajdują się bezwstydni wyzyskiwacze ideałów narodowych i zdrajcy, których kupić można.

Nowe doświadczenie z Kotowieckiem i Mielżynem powinno wreszcie pouczyć społeczeństwo nasze, że zaklinanie takich żywiołów na miłość Ojczyzny, na obowiązek ratowania Ojczyzny przez niewypuszczenie ziemi polskiej w ręce Kolonizacyi, nie prowadzi do żadnego skutku. Opinia publiczna nie jest skutkiem zaradczym na takie elementa. Co u nas moralnie i narodowo złajdaczone, to będzie pracowało tylko na zagładę naszą, i tego żadne wyklinania sprzedawczyków nie odmienią.

Przed klęskami, przed zagładą, jaka nam z tej strony grozi, możemy się skutecznie bronić tylko w ten sposób, że tę *obronę oprzemy na zdrowych, pracowitych, myślą narodową przejętych i moralnie silnych elementach.* Nie jesteśmy jeszcze ani zwyrodniałą kupą gruzów po niegdyś wielkim narodzie, mamy w sobie jeszcze wiele wartości i siły moralnej, mamy w sobie sporo ciepła i czułości sprawy ojczystej i gotowości do obrony i utrzymania ognisk rodzinnych, a przez nie narodu. Więc wszyscy, którzy czujemy, że stanowimy zdrową część narodu, bierzmy się i powołujmy się nawzajem do obowiązków osobistych i narodowych. Osłabieni na jednem i drugiem miejscu okopiemy się tem silniej na wielu innych miejscach. Byle każdy — na swoim posterunku — sprawował swój *osobisty i narodowy obowiązek,* bo on jedynie zabezpieczy nas przed prywatnemi i narodowemi klęskami, przed zagładą."

To przynajmniej męski głos, widzący zle, ale nie załamujący wobec niego rąk w rozpaczy.

I doprawdy dużo jeszcze musi być zdrowia moralnego w nas, jeżeli tyle ujawnionej tutaj i przy innych okolicznościach frymarki moralnej zgnilizny odnośnych osobników — nie zatruło nas. To też to zdrowie moralne zachowujmy, wychowaniem je krzepmy i rozszerzajmy, a na tych, co z klęsk naszych wyjdą zwycięzko, liczyć będziemy mogli w każdej chwili i każdej przygodzie.

O interpelacyą Koła.

Sprawa spowiedzi żołnierzy Polaków w czynnej armii nie tak dawno obeszła całą prasę polską i poruszyła nawet prasę katolicko-niemiecką. Powstały pogłoski, że wywiera się nacisk na żołnierzy, aby się spowiadali w języku niemieckim, a względnie robi się dochodzenia, w jakim języku ci żołnierze się spowiadają.

Te pogłoski budziły słuszne podejrzenie, że władza wojskowa nieprawnie dąży do kontroli spowiedzi św. Na pogłoski te zbrakło na razie dowodów, jedyna bowiem władza, tj. władza wojskowa, którąby sprawę tę wyświetlić mogła, okryła się płaszczem milczenia.

Pogłoskami temi rozbudzona została w kołach interesowanych czujność i podchwcono obecnie niezbity dowód na to, że przynajmniej w jednym wypadku władza wojskowa wydała rozkaz kontroli co do języka, w jakim żołnierze polscy się spowiadają.

Otóż wydobyto na jaw dokument naczelnej komendantury I. korpusu w Królewcu, wydany na dniu 19 grudnia 1905 r. Dokument ten według katolickiej „Germanii" brzmi następująco:

„We wykazach nadesłanych dnia 15 grudnia 1905 o żołnierzach nie umiejących tyle po niemiecku, żeby się mogli spowiadać w tym języku, wymieniono w Królewcu 1 żoln .w Brunsberdze 3, w Rastemborku 2, w Olsztynie 3 — ogółem 9 katolickich Polaków. Mimo to spowiadało się w miejscu, do którego sprowadzono ze znacznemi kosztami księdza katolickiego, 19 żołnierzy po polsku.

Zachodzi niebezpieczeństwo, że przez to popiera się pewne polskie dążności. Komendantury i komendy garnizonowe mają do 15 stycznia 1906 r. odpowiedzieć na następne pytania:

1) Którzy katoliccy duchowni, z tych, którzy w jesieni 1904 i 1905 r. i na Wielkanoc 1904 i 1905 r. słuchali spowiedzi, posiadają język polski?

2) Którzy katoliccy duchowni słuchali spowiedzi po polsku?

3) Czy jest znanem, ilu żołnierzy spowiadało się po polsku?

podp. Jenerał kom. *Goltz*."

Pismo to potwierdza w całości pogłoski i obawy, że władza wojskowa nie waha się zdzierać zasłony ze świętej tajemnicy spowiedzi — skoro chodzi o spowiedź w języku polskim.

Kontrola ta jest bezprawną, jest samowolną, pogwałceniem sumienia *żołnierza*, a niczem niedającym się usprawiedliwić *naciskiem na księży wojskowych*.

Że tak jest, że postępowanie władzy wojskowej wychodzi tutaj po za granice przynależnych jej praw, na to dowód w wydanym dla księży wojskowych regulaminie. Regulamin ten nie pozostawia żadnej w tym względzie wątpliwości, opiewa bowiem w odnośnym ustępie dosłownie, że:

„nie wolno dozorować albo później konstatować (dochodzić, stwierdzać, dowiadywać się), w *jakim języku* żołnierze spowiadają się albo spowiadali się".

Wydany więc rozkaz gen. barona v.d Goltz jest bezwarunkowo — bezprawny.

Rozkaz ten wywołał — rozumie się, najwyższe zainteresowanie u posłów naszych. *Koło polskie* w parlamencie postanowiło wnieść nagłą interpelacyę,

Ale cóż się dzieje?

Koło powierzyło — według „Dz. Berlińskiego" — ułożenie interpelacyi jednemu z najstarszych posłów, a w tym wypadku zdawało się i najodpowiedniejszemu, boć chodziło o sprawę religijną — t. j. *ks. prał. dr. Jażdżewskiemu,* który interpelacyę miał przedłożyć zebraniu Koła.

Ks. dr. Jażdżewski polecenie przyjmuje, interpelacyę układa. Nie dość mu jednak tego. Otóż, zanim interpelacyę przedłożył Kołu, idzie do ministra wojny, a gdy tego nie zastaje, *donosi jednemu z komisarzy ministra, że z powodu rozporządzenia barona v. d. Goltza — Koło polskie zamierza wnieść interpelacyę.* Odpowiedziano mu, że komenderujący gen. I korpusu został stósownie — pouczony.

Na zebraniu Koła przedkłada ks. dr. Jażdżewski przygotowaną interpelacyę, powiadamia jednakże równocześnie Koło, że interpelacya już stała się *niepotrzebną,* bo — sprawa została załatwioną.

Wiadomość ta wywołała w Kole zdziwienie i ciekawość, co się w tym czasie stało.

To też ks. prał. Jażdżewski opowiedział co zrobił i czego się dowiedział.

Tymczasem „lewica Koła" — t. j. ta część posłów, która wyznaje zasady ludowe, narodowe i postępowe — robi z tego kroku ks. prał. Jażdżewskiego ważną sprawę i zadaje mu pytanie: *kto go upoważnił do prowadzenia konszachtów z rządem poza plecami Koła?*

Gdy ks. prał. Jażdżewski zaczął się tłomaczyć, zwrócono mu uwagę na to, że nikt nie ma prawa bez wiedzy Koła porozumiewać się z kimkolwiek ze strony rządu lub stronnictw. A jeżeli tego prawa nikt nie ma, w takim razie nie ma go i ks. prał. Jażdżewski, bo w Kole zasiadają wszyscy posłowie polscy jako wybrańcy narodu na *równych* prawach.

Tak daleko sprawa ta w przedstaniu „Dziennika Berlińskiego", który nie szczędzi słów ostrej krytyki ks. prałatowi Jażdżewskiego za to, że krzyżuje samowolnie plany całego Koła.

Gdybyśmy z podanych przez „Dz. Berliński" faktów mieli i mogli wydać o tem postępowaniu nasz sąd, to wypadłby on bezwarunkowo tak samo.

Tymczasem dowiadujemy się z źródła kompetentnego, że w niektórych punktach „Dz. Berliński" sprawę nie opisał tak, jak się istotnie miała.

Nasamprzód faktem jest, że ks. prał. Jażdżewskiemu polecono ułożenie owej interpelacyi. Tenże spotkawszy się w jakiejś komisyi z jednym z urzędników kancelaryi ministra wojny, mówił z nim o rozporządzeniu wydanem przez barona v. d. Goltz. Dowiedział się natomiast od niego, że rozporządzenie to zostało cofnięte. Sporządziwszy więc interpelacyę, przedstawił ją Kołu i zakomunikował zarazem, jak sprawa ta została przez ministeryum wojny załatwiona.

Z naszego przedstawienia wynika jedno, że nie — jak „Dz. Berliński" pisze — *rozmyślnie* lecz *przypadkowo* ks. prał. Jażdżewski rozmawiał o interpelacyi z urzędnikiem ministeryum wojny. Upada więc zarzut — konszachtów z rządem.

Nie chcemy jednak przesądzać zarzutu krzyżowania kroków Koła polskiego, sądzimy bowiem, że w tej sprawie Koło samo powinno wystąpić z odpowiedniem wyjaśnieniem — a wtenczas i my o całej tej sprawie będziemy mogli wydać sąd, jaki należy. Z sądem naszym wstrzymujemy się na razie dla tego, ponieważ sprawa ta zbyt jest ważną, ażeby przesądzać ją można na podstawie jednostronnego przedstawienia „Dz. Berlińskiego", któremu nadto ks. prał. Jażdżewski publicznie zaprzecza.

Co jednak podnieść musimy, to drażliwy fakt, że widocznie ktoś z posłów całą tę sprawę wyniósł z posiedzenia Koła, które są tajne.

Tak do tej, jak i do powyższej sprawy powrócimy w następnym numerze.

Przeciwko pojedynkom.

Z postępem idei chrześcianizmu i rozwojem dążności zmierzających do prawdziwego szczęścia ludzkości, co raz głośniej rozbrzmiewa walka prze-

ciwko przeróżnym starym przesądom stanowym.

Jednym z tych przesądów jest tak zw. — pojedynek. Wyrósł on za wieków średnich na tle obrony czci — cudzej albo własnej.

Pojedynek wówczas traktowano niejako sąd Boży. Bóg miał przyznawać zwycięztwo temu, który walczył za prawdę.

Zmieniło się to z czasem. Dziś pojedynek stał się przesądem pewnego stanu, który w razach obelgi n. p. nie ma mieć prawa dochodzenia słuszności swej na innej drodze jak — z bronią w ręku.

Dzieje się tak we wszystkich krajach europejskich (cywilizowanych!) — dzieje się i u nas w Polsce. Jednakże wszędzie w ostatnim czasie wzmaga się ruch przeciwko pojedynkom. Także w Galicyi powstała Liga przeciwko pojedynkom i liczy dziś setki członków. Protektorką jej jest jedna z księżnych Czartoryskich.

Uwagi te nasunęła nam sprawa roztrząsana niedawno w parlamencie niemieckim. Stronnictwo centrum, katolickie, a jako takie przeciwne pojedynkom, wniosło interpelacyę w następującej sprawie.

Sąd honorowy wojskowy wykluczył adwokata i notaryusza dra Feldhauza z Mühlheim ze stanu oficerskiego za to, że nie wyzwał na pojedynek młodego lekarza dra Göpla, który go dwukrotnie obraził, i że sprawę oddał do sądu zwyczajnego, który dr. Göpla skazał na 600 mrk kary.

Dr. Feldhaus jest przeciwnikiem pojedynków, człowiekiem w podeszłym wieku, i on to miał młodzika jakiegoś za obrazę wyzywać na pojedynek i narażać życie swoje na igraszkę losu — ew. osierocić żonę i sześciorga dzieci.

Takie zapatrywania istniejące w kołach oficerskich centrum odpowiednio napiętnowało.

Zadziwić musi wobec tego stanowisko rządu i jego przedstawiciela ks. Bülowa, który w odpowiedzi na tę interpelacyę — jawnie staje w obronie pojedynków.

W parlamencie bronili księcia Bülowa tylko konserwatyści, reszta posłów stała na stanowisku przeciwko pojedynkom.

Do tej części parlamentu należy także Koło polskie, którego imieniem przemawiał przeciwko pojedynkom nestor posłów naszych — *Leon Czarliński.*

Korespondencya z Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Kraków, dnia 23-go stycznia 1906.

Sprawa zaprowadzenia w Austryi powszechnego prawa głosowania zaczyna się rozwijać dla Galicyi bardzo niepomyślnie, a nawet *groźnie.* Opór wiedeńskiego Koła polskiego przeciwko tej reformie rozpętał w wschodniej Galicyi burzliwą i namiętną agitacyę antipolską *wśród Rusinów.* Doszło już do tego, że na publicznych zgromadzeniach padają hasła *„rzezi Lachów i żydów,“* że w Nadwornej agitacya ruska tak groźny przybrała charakter iż namiestnictwo zmuszone było wysłać tam wojsko. W tej agitacyi wiodą rej socyaliści *i księża ruscy.* Kierujące Koła ruskie nie poprzestają atoli na tej akcyi — lokalnej. Z ich inicyatywy odbyła się wtych dniach w Wiedniu konferencya, na którą przybyli wszyscy uniccy biskupi i wszyscy posłowie ruscy. Na konferencyi tej żądano stanowczo zupełnie równego i powszechnego prawa wyborczego dla Galicyi, aby za pomocą tego prawa Rusini mogli wydrzeć Polakom wszystkie wschodnio galicyjskie okręgi wyborcze. Z takiem żądaniem deputacya owego zjazdu ruskiego wystąpiła wobec rządu, dotarła nawet do cesarza. Jaki skutek odniosą jej zabiegi, trudno dziś przewidzieć; nie byłyby one zbyt groźne dla Polaków, gdyby Koło polskie w Wiedniu posiadało dawne swoje wpływy — lecz tych dziś już niema.

Projekt reformy wyborczej wprawił je wogóle w bardzo przykre położenie. Obecny austryacki prezydent gabinetu baron *Gautsch,* zdawna już nie bardzo życzliwy Polakom, zamierza z reformy tej korzystać ku pojednaniu, a chociażby tylko czasowemu pogodzeniu *Czechów i Niemców,* a tem samem ku wzmocnieniu pozycyi

Czarna księga

czyli

szkody wyrządzone polskości przez komisyę kolonizacyjną.

IV. Protestantyzacya. Germanizacya przez szkołę. Wychodźtwo ludu polskiego.

Kiedyśmy już w poprzednich rozdziałach zapoznali się z napływem Niemców, utratą ziemi i podrożeniem jej ceny to wypada nam się dzisiaj zastanowić nad protestantyzacyą, którą rozszerza kolonizacya, oraz nad germanizowaniem i usuwaniem z ziemi naszego polskiego ludu.

Kiedy przed kilkoma laty umarł protestancki „biskup“ w Poznaniu nazwiskiem G. wtenczas niemieckie pisma chwaląc działalność jego wspominały w opisach pośmiertnych, że za jego rządów pobudowano w Księstwie około 70 zborów protestanckich. Pamiętaj bracie! Za rządów jednego superintendenta 70 kościołów!

Komisya kolonizacyjna jest skromniejsza bo przyznaje się w sprawozdaniu swojem, za rok 1904-ty tylko do 27 kościołów i 18 zborów (Bethäuser). W każdym razie widzimy z tego, że rząd dba o to, aby liczbę protestantów stale powiększać, aby ewangelikom-kolonistom uprzyjemnić pobyt na naszej ziemi. Kolonizacya nauczona doświadczeniem, że koloniści dawniejsi z braku kościołów swoich i współwyznawców, albo uciekali z powrotem do Niemiec, albo się prędko polszczyli, buduje dzisiaj gdzie tylko się grupa ewangelików osiedliła zaraz kościół lub „bethaus.“ Na te cele wydala komisya już 266,450 marek, a przecież nie wszystkie zbory są już wykończone. Tam gdzie zbór tam też niebawem przybędzie pastor ewangelicki, a wraz z nim żona, później dziatwa. Otóż tak się mnoży protestancka ludność powoli, ale stale, świadomie i ostrożnie, aby żadnej duszyczki już nie uronić.

Od 1886-go do roku 1904-tego osiedliła kolonizacya 8486 kolonistów ewangelickich, a tylko 376 (!) katolickich. A cóż nasi przyjaciele z „centrum“ na to? Od czasu do czasu oburzają się na ten system, napiszą parę artykułów, ale na tem też koniec. Gdy rząd pruski uchwala nowe miliony, oni wychodzą ze sali i nie śmią się ująć za nami bo nie chcą się rządowi narazić. Możnaby o tych sprzymierzeńcach powiedzieć dzisiaj: „Panie chroń mnie od moich przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę!“

A jak wygląda w szkole? Na zakupionej przez kolonizacyę ziemi postawiono dotychczas 205 szkół protestanckich lub symultannych, boć katolickich kolonizacya przecież stawiać nie będzie.

Ilu tam nasprowadzano nauczycieli ewangelickich z zachodu i Sląska, ile tam dzieci polsko-katolickich zmuszonych jest chodzić do szkół symultannych, czyli pod względem wyznania mięszanych tego, kochani bracia, tak łatwo nikt nie zliczy. A wszystko w nich dajcz i dajcz; o polskiej mowie, o kontroli religii przez naszych kapłanów nie ma tam dziś już mowy! Germanizują dzieci nasze, zakazują im modlić się i mówić po polsku, a w razie oporu lub wstrętu, trzcina i kij jest w robocie. Oj, ciężka dola naszych dziatek i gdzie w domu ich nie nauczą czytać po polsku, gdzie nie ma w domu elementarza i katechizmu polskiego, tam łatwo dzieci nasze się germanizują.

Można śmiało powiedzieć, że gdzie kolonizacya kupi ziemię, tam istny pomór powstaje dla naszego ludu. Gdy dziedzic sprzeda i się wyprowadzi, gdy prochy ojców osamotnione zostaną po cmentarzyskach i grobowcach to i gospodarz nasz się zniechęci i zadrży o swój byt, o swój spokój, a lud roboczy czyli komornik ucieka ze wsi, jakoby się

rządu w parlamencie. Od tygodnia już odbywają się w tym kierunku rokowania i pertraktacye w Wiedniu z przedstawicielami obu tych narodowości. Przed kilku dniami rozeszła się pogłoska, że do gabinetu mają być powołani przywódcy trzech głównych grup w parlamencie, a więc Niemców, Polaków i Czechów czyli innemi słowy, że ma nastąpić parlamentaryzacya obecnego, ściśle biurokratycznego gabinetu. Jako kandydatów na stanowisko ministrów wymieniano z Niemców posłów *Derschattę* i *Pradego*, z Czechów dr. *Pacaka*, z Polaków prezesa Koła, hr. *Dieduszyckiego*. Ostatni miał zastąpić ministra dla Galicyi dr. *Piętaka*, który jak wiadomo, poróżnił się z większością Koła w sprawie reformy wyborczej. Oprócz niego miał wstąpić do gabinetu jako minister sprawiedliwości były namiestnik Galicyi, hr. *Piniński*. Rokowania a raczej targi te jeszcze nie ukończone; dotyczące pogłoski i wersye opiewają atoli, że skończy się na tem, iż tylko Niemcy i Czesi otrzymają stanowiska ministrów — że natomiast z przedstawicieli Koła polskiego nikt nie wejdzie do Gabinetu. I wersye te brzmią poniekąd bardzo prawdopodobnie. Niemcy i Czesi godzą się na powszechne prawo głosowania, przywódcy Koła polskiego nie; ponieważ zaś ta parlamentaryzacya gabinetu ma być dokonana pod hasłem tego rodzaju reformy wyborczej, jasnem jest, że wstąpienie jednego lub drugiego z tych przywódców polskich do gabinetu byłoby zależnem od pewnych, a nawet daleko sięgających ustępstw rządu na rzecz postulatów wyborczych Koła. Na takie zaś ustępstwa hr. Gautsch bogdaj czy się zgodzi.

Sytuacya w Wiedniu ma też być obecnie taka, że Koło polskie jest zupełnie *odosobnione, tak odosobnione, jak nie było nigdy od lat* 30. Jego wpływy zmalały do zera i łatwo być może, że reforma wyborcza przeprowadzona zostanie *ponad głowami posłów polskich ku ogromnej szkodzie żywiołu polskiego w Galicyi*.

Jakże teraz właśnie, w tej przełomowej chwili, braknie ś. p. *Apolinarego Jaworskiego*, zmarłego przed dwoma laty przywódcy Koła. On zapewne nie byłby dopuścił do takiego ukształtowania się sytuacyi. Smutnym dla nas faktem jest, że w większości Koła niema na razie żadnego prawdziwie wybitnego polityka.

Jak się rozprawa dalej rozwinie, doniosę w następnym liście.

Galicyanin.

O deputacyi ruskiej u cesarza Franciszka Józefa, o której wspomina nasz korespondent donoszą dziś gazety galicyjskie:

Deputacya ta składała się z metropolity lwowskiego ks. Arcybiskupa *Szeptyckiego*, biskupów *Czechowicza* i *Homyszyna*, dalej z posłów ruskich *Romańczuka* i *Korola*. Na przemowę metropolity ks. Szeptyckiego, stosunkowo bardzo bladą, żądającą jedynie zupełnie równego traktowania Galicyi z innymi krajami, cesarz Franciszek Józef odpowiedział:

„Zapewniam Panów, że rząd przytem trudnem zadaniu będzie się starał jak najusilniej przestrzegać praw i interesów wszystkich narodów i każdemu dać możność przedstawienia swych żądań. Dlatego panowie, możecie być pewni, że reforma wyborcza odpowiednio także *wasz naród uwzględni*.

„Pomyślne ukończenie dzieła zależy jednak w pierwszym rzędzie od bezwarunkowego przestrzegania *drogi ustawowej*. Tego oczekuję od wszystkich i dlatego proszę także was, abyście użyli waszego wpływu, by *ustały podburzające demonstracye*, jako też objawy bezpodstawnej nieufności, gdyż to nie prowadzi do pokoju, tylko do zaostrzenia narodowych sprzeczności. W waszym własnym interesie wydaje mi się ponadto pożądany *pokojowy i pełen zaufania stosunek do narodu, który razem z wami zamieszkuje moje ukochane królestwo Galicyę*. Usposobienie pojednawcze obu narodów, które tak bliskie są memu tronowi, ułatwi także dojście do skutku reformy wyborczej, uwzględniającej potrzeby czasu. Możecie panowie być pewni także na przyszłość mej życzliwości“.

Nie poraz pierwszy z ust sędziwego monarchy Austryi padały pod adresem Rusinów takie napomnienia. Niestety nie odnosiły one skutku. I dziś wątpić można, czy znajdą posłuch. Dzisiejsi prowodyrzy Rusinów słuchają

---

bał przekleństwa; musi zresztą uciekać, bo go nowy pan administrator, inspektor, lub pachciarz nie weźmie do pracy; wszakże on ma wskazówkę z góry, aby sprowadzać za wszelką cenę lud obcy, niemiecki!

Kiedy spojrzymy na statystykę wychodźtwa ludu z Księstwa Poznańskiego, to natrafimy tam zastraszające wprost cyfry. Otóż od roku 1891-go do 98-go włącznie, a więc przez 8 lat wydaliło się z 40 powiatów Księstwa na robotę do Niemiec nie więcej, nie mniej jak *330.824 ludzi!* W tem naliczyłem przeszło 200 tysięcy mężczyzn, a około 130 tysięcy kobiet. Większość znaczna tych ludzi pochodziła z powiatów ostrowskiego, ostrzeszowskiego, jarocińskiego, a także babimojskiego, śmigielskiego i czarnkowskiego.

Wprawdzie wychodzą ludzie „na Saksy“ i na emigracyą dalszą ze wszystkich powiatów, ale przeważne cyfry dostarczają powiaty nad Prosną i nad granicą brandenburską. Czego to dowodzi? Otóż to dowodzi, że lud ucieka z okolic, gdzie ziemia uboga i wyżywić go nie może i z tych stron, gdzie mocno już jest pomieszany z żywiołem obcym, niemieckim. Tam, gdzie kolonizacya się panoszy, rozszerza, gdzie kupuje obszary wielkie jeden po drugim, tam serce wieśniaka krwawi się, jak serce każdego innego Polaka. Ucieka on z miejsca zbrodni, traci ochotę do pracy — pod obcym — i woli się tłuc i marnować po świecie całym, aniżeli patrzeć na hańbę swych braci. Z obwodu regencyjnego poznańskiego poszło na zachód 265.000, a z obwodu bydgoskiego 65 tysięcy ludzi. Tłomaczy się to tem, że na Pałukach nad Notecią, Gopłem i Wisłą ludność polska zmieszana jest prawie pół w pół z niemiecką. Ale i z tych 65.000 przeważnie emigrował lud z powiatów wągrowieckiego, żnińskiego, wieleńskiego i czarnkowskiego, a więc z okolic, gdzie kolonizacya poczyniła największe szczerby wśród szlachty, albo też, gdzie Niemców z dawien dawna nasiano kiejby maku.

Wprawdzie wielu powraca znowu do Ojczyzny, lecz tylko na zimę! Gdy u nas wybory wiosną do parlamentu, lub jesienią do rady gminnej lub do sejmu pruskiego, wówczas brak nam tych 200 tysięcy głosów i tym sposobem przepadamy w okręgach, z których właściwie Polak wyjść powinien posłem. Tak jedno złe wywołuje następne! Śmiało rzec możemy, że jedna trzecia naszego ludu już wogóle nie powraca do domu; ginie ona w morzu germańskiem i jeżeli przypuścimy, że co rok ginie dla polskości w Księstwie 10—12 tysięcy ludzi, którzy już nie wracają, to dopiero poznamy, jak straszne klęski wyrządza nam kolonizacya. Rząd o tem wie i dla tego nie szczędzi milionów. Za dwa lub trzy lata sejm pruski uchwali znowu 150 lub 250 milionów marek na wykupno ziemi i tak pójdzie dalej, aż się Bóg nad nami zlituje i kartę Europy kiedyś inaczej zarysować zechce.

A jak wyglądają te parafie nasze? Niejeden zacny duchowny, który miał przed 20 laty 3000 lub 5000 dusz polskich, ma ich dzisiaj 1500 lub 3000. Aż się serce krwawi! Z czego ksiądz ma żyć? Z czego Kościół utrzymywać w porządku, naprawiać?! Zaiste są okolice, w których kapłanom wogóle niedługo owieczek zabraknie! To straszne widmo grozi tam mianowicie, gdzie na kilka kilometrów wokoło wykupiła wszystko kolonizacya.

Przeto brońmy się. Nie sprzedawajmy ziemi, bo gdy tej nam zabraknie, to i nas nie stanie. Czas skończyć z sprzedawczykostwem, czas wielki, abyśmy się nareszcie opamiętali.

K. R.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ciętniej rad i podszeptów — z *Berlina*, niż słów swego monarchy.

Minister Bethmann-Hollweg.

Następca ciętego Hammersteina niekoniecznie pod szczęśliwą gwiazdą rozpoczyna swoją karyerę na — polskim koniku. Usiłował on podczas ogólnej dyskusyi nad etatem w sejmie pruskim bronić policyi wobec zarzutów Polaków, że nieprawnie rozwięzuje zebrania, i że pomimo tego Polacy o prawa przynależne nawet w ministeryum dopukać się nie mogą.

Na zarzuty te odpowiedział p. minister v. Bethmann-Hollweg między innemi, co następuje:

„Co do ograniczenia prawa zebrań w polskich dzielnicach, to o poszczególnych wypadkach *nic mi nie donoszono*, nie mogę dla tego wdawać się w badania. Lecz *samo się przez się rozumie, że urzędnicy pruscy trzymają się prawnych przepisów.*“

— Lecz cóż się dzieje? — Pan minister twierdzi, że o poszczególnych wypadkach co do ograniczenia prawa zebrań nic mu nie donoszono. Moglibyśmy pod tym względem wymienić kilka świeżych wypadków, w których wiece n. p. „Straży“ uniemożliwiano zakazami albo zabiegami nieprawnemi policyi. Pomijamy atoli te najświeższe wypadki, być bowiem może, że przy znanej procedurze biurokracyi pruskiej odnośne doniesienia do ręki jego ekscelencyi ministra jeszcze nie doszły.

Natomiast możemy przytoczyć fakt, który przez kancelaryę ministra „dla spraw wewnętrznych“ już załatwiony został, a przypuszczać nie możemy, żeby się to stać miało — bez wiedzy i woli p. ministra. Jest to fakt następujący:

Dnia 7-go maja miał przemówić na publicznem zebraniu w *Gnieźnie* mec. p. *Karpiński*. Sam zebranie to na policyi zgłosił, kiedy jednak zaledwie kilka słów powiedział, policyant rozwiązał zebranie.

W tym czasie wydarzyło się przypadkowo, że p. minister zniósł zakaz mówienia dla hr. Pücklera — słynnego wroga żydów. Pan mec. Karpiński powołuje się na ten fakt i prosi w osobnem piśmie p. ministra, by zniósł rozporządzenie policyi gnieźnieńskiej, która jemu zakazała mówić. Pismo to wysłane zostało na ręce ministra p. Bethmann-Hollwega na dniu 1-go sierpnia. Pan mec. Karpiński starał się widocznie i na innej drodze o swoje prawa.

W odpowiedzi na swoje podanie otrzymuje p. mec Karpiński list z kancelaryi ministeryalnej — następujący:

Berlin, 20 września 1905.

Minister spraw wewnętrznych II. c 3341/05.

Ponieważ co do rozwiązania zebrania 7-go maja r. b. skarga przed najwyższym sądem administracyjnym wdrożoną została, przeto nie mogę się Pańskiem zażaleniem zajmować.

W zastępstwie
Kitzing.

Do adwokata Karpińskiego w Gnieźnie.

Jakże teraz list ten pogodzić z twierdzeniem p. ministra, że „o poszczególnych wypadkach ograniczenia prawa zebrań w polskich dzielnicach —*nic* mu nie donoszono “

Nie możemy — jak to wyżej już powiedzieliśmy — przypuszczać, żeby urzędnicy kancelaryi p. ministra sami na własną odpowiedzialność takie sprawy załatwiali, bo społeczeństwo nie ich, lecz p. ministra pociągać może do odpowiedzialności. Zresztą sprzeciwiałoby się to sławnemu „porządkowi pruskiemu.“

Czyżby może p. minister nie uważał postępowania policyi gnieźnieńskiej za bezprawne? — To pytanie wydaje nam się uzasadnione dla tego, że p. minister uważał za słuszne z mocnem przekonaniem powiedzieć, że „samo się przez się rozumie, że urzędnicy pruscy trzymają się prawnych przepisów.“

Niewątpliwie chodziło p. ministrowi o obronę swych urzędników, będzie musiał to czynić dość często — ale czy dość szczęśliwie, jeżeli jak w powyższym wypadku, albo się pomyli, albo go pamięć zawiedzie, albo — co gorsza — przeliczy się z tem, że urzędnicy pruscy nie zawsze postępują sobie prawnie?!

Jeden, drugi i trzeci taki wypadek, taka ministeryalna „omyłka“ — a p. minister może łatwo przestać być ministrem.

„Straż“.

Rozwój „Straży“ zatacza coraz szersze kręgi. Szczególnie silnem staje się jej stanowisko w kraju samym, t. j. w W. Ks. Poznańskiem, przeszła już do Zachodnich Prus i znalazła szczerych, a gorących zwolenników — a wkrótce zapuści korzenie także i na G. Śląsku.

Podobnie raźno idzie także praca agitacyjna wśród rodaków naszych na obczyźnie, i to w Berlinie i okolicy.

Niestety — w Westfalii — natrafiła agitacya za „Strażą“ na grunt niepodatny. Łatwo to zresztą zrozumieć. „Straż“ — organizacya, która opiera byt swój na wspólnych dążeniach, na zgodzie i wzajemnej, braterskiej miłości, nie może istnieć tam, gdzie panuje niezgoda, zawiść, zamęt. Tak niestety jest we Westfalii, tak było od lat wielu, a jak długo będzie — przewidzieć niepodobna.

Cò gorsza — zwolennicy „Straży“ w Westfalii nie umieją zdaje się zachować miary i taktu i zamiast godzić, dolewają jeszcze oliwy do ognia.

Takie wrażenie robi głośna sprawa — wieca „Straży“ w Bruchu. Mąż zaufania „Straży“ — p. Jan Brzeskot — były kierownik „Zjednoczenia Zawodowego Polskiego,“ szumnie zapowiedział na drugie święto Bożego Narodzenia wiec „Straży“ w Bruchu, reklamując go szczególnie tem, że przybędzie nań — poseł Wojciech Korfanty. Liczył z pewnością na to, że popularność dzielnego obrońcy ludu roboczego zwabi na wiec mnóstwo ludzi.

Nie wiemy, czy poseł Korfanty na wiec ten istotnie miał przybyć lub nie, choć po prawdzie trudno uwierzyć, by miał w czasie świąt tak uroczystych chcieć wyjechać z domu, tem więcej, że musiał się spodziewać „następcy tronu,“ jak nazwała syna p. Korfantego, który urodził się krótko po Nowym roku jedna z gazet śląskich.

Mniejsza zresztą z tem. Ostatecznie wiec ten się nie odbył, ponieważ właściciel restauracyi, w której Polacy w Bruchu przebywają — odmówił sali.

Teraz rozpoczynają się swary. Pan Brzeskot twierdzi, że p. *Kuchem*, t. j. ów restaurator odmówił sali za namową — „Wiarusa Polskiego.“ „Wiarus Polski“ wiadomość tę nazywa podłem oszczerstwem — i kłótnia powstaje w najlepsze. W tem p. Kuchem *oświadcza*, że „Wiarus Polski“ go do odmówienia sali nie podmawiał, tak samo nikt z personału jego, p. Brzeskot zarzut swój natomiast podtrzymuje, głosząc, że wiadomość jego podprzysięże 8 rodaków z Bruchu. Koniec końców — „Wiarus“ zapowiedział, że oskarży Brzeskota — o oszczerstwo.

Całe to zajście przedstawia się pokrótce tak: występują przeciwko sobie Brzeskot i „Wiarus Polski,“ o których wiadomo we Westfalii, że mają między sobą niejedną sprawę; nieszczęście chce, że p. Brzeskot jest mężem zaufania „Straży“ i że kłótnia idzie o — wiec „Straży.“

A więc — sądzi wielu — sporowi winna „Straż.“ Tymczasem absolut-

nie tak nie jest. Pan Brzeskot naszem zdaniem powinien był zwrócić się ze swemi wiadomościami o okolicznościach, które przeszkodziły wiecowi w Bruchu — natychmiast do głównego Zarządu „Straży“. Tego jednak — jak się dowiadujemy — nie uczynił i prowadził spór na własną rękę. Odpowiada więc za cały spór p. Brzeskot sam a nie „Straż“. — Tak też — o ile wiemy — zapatruje się na tę sprawę tak główny Zarząd, jak i sekcya organizacyjna „Straży“. Niestety zajście takie jak w Bruchu zraża ludzi do „Straży“ — o czem ani p. Brzeskot, ani „Wiarus Polski“ nie pamiętali. Nie dziwimy się zresztą wcale „Wiarusowi Polskiemu“, bo on od razu był „Straży“ przeciwny, ale dziwimy się p. Brzeskotowi, że mając tyle „westfalskiego“ doświadczenia zerwał się do polemiki, nie mając niezbitych dowodów w ręku na swoje twierdzenie.

Jaki będzie koniec tej sprawy — na razie nie wiemy. Jesteśmy jednak zdania, że sprawa ta kwestyę „Straży“ w Westfalii zrobiła wprost piekącą i że powinien główny Zarząd poczynić kroki ku wzajemnemu porozumieniu z Westfalią. Jeżeli porozumienie na razie okaże się niemożliwe, lepiej zaniechać wszelkich zabiegów, aniżeli stawać się przez ludzi nieodpowiednich — kością niezgody, której we Westfalii jest i tak już dość.

* * *

Z bieżących spraw „Straży“ mamy do zanotowania następujące:

— *Wiec w Kamionnie*, powiecie międzychodzkim, odbył się zeszłej niedzieli przy udziale przeszło 200 gospodarzy i robotników miejscowych i okolicznych. Przybyło także kilkunastu obywateli z miasta Międzychoda. Zebranie zagaił starosta powiatu p. Bogdański z Orzeszkowa. W półgodzinnem przemówieniu, wygłoszonym bardzo popularnym stylem przedłożył starosta jasno i zrozumiale powody, które zmusiły społeczeństwo do założenia „Straży.“ Zebrani przejęli się wywodami mówcy a dowodem ich zadowolenia były liczne przytakiwania i chęć wstąpienia do „Straży.“ Następny mówca p. Karol Rzepecki, delegat „Straży,“ wyłuszczył zadania „Straży,“ przyczem nieomieszkał nawoływać do kupowania u swoich oraz potępiać sprzedawczykostwo. Policyą reprezentowali pp. Guenther z Poznania i komisarz dystryktowy. Wiec trwał 2 godz. i podniósł ducha wśród ludności poważnie zagrożonej przez germanizacyą. Komisarze „Straży“ mianowani już poprzednio, rozpoczną teraz swą pracę, która na kresach musi być umiejętną i bardzo oględną. Zapowiedziano dwa dalsze wiece „Straży“ w powiecie, a mianowicie w W. Chrzypsku i Sierakowie.

* * *

— *Wiec w Bierzgłowie.* Wiec „Straży“ który się odbył w Bierzgłowie — w Toruńskiem w Prus. Zach. — zagaił krótko po godzinie 12 p. Donimirski z Łysomic i dał krótki pogląd na działalność kolonizacyi, oraz wspomniał o wychowaniu naszej dziatwy w szkołach pruskich. Przewodniczącym obrano p. Raciniewskiego z Łążyna, ławnikiem p. Czajkowskiego ze Siemonia. Znaczenie i cele „Straży“ wyjaśnił wiecownikom p. Raciniewski. Na kandydatów „Straży“ zgłosiło się około 70 osób. Pan Donimirski zabrał następnie jeszcze głos, przypominał zebranym znane hasło „swój do swego“ oraz zachęcał do gorliwego uczenia dzieci czytania i pisania po polsku. Pan Łukasz z Łążyna mówił o kulturze pruskiej, poczem rozprawy zamknięto.

* * *

— *„Straż“ w Berlinie.* Od zarządu głównego „Straży“ w Poznaniu nadeszło pismo, według którego zakres działania męża zaufania (starosty) „Straży“ na Berlin i Brandenburgię rozszerzony został na Pomorze i Łużyce.

W myśl tego pisma poprosiłem p. *Jana Kaczmarka* na komisarza „Straży“ *w Złokomorowie.*

Rodacy, którzyby chcieli objąć urząd komisarzy „Straży“ w Brandenburgii, na Pomorzu i Łużycach, wszędzie tam, gdzie żyje większa liczba Polaków, zechcą zgłosić się do niżej podpisanego pod adresem Redakcyi „Dziennika Berlińskiego“.

Fr. Krysiak
mąż zaufania „Straży“
na Berlin, Brandenburgią, Pomorze i Łużyce.

* * *

— *Wiec „Straży“ w Charlottenburgu* skutkiem nieprzewidzianych przeszkód nie mógł się odbyć dnia 21 bm. Odbędzie się na pewno dnia 18 lutego. Przemawiać na nim będzie poseł *dr. Zygmunt Dziembowski*, prezes sekcyi prawnej „Straży.“

* * *

— *Wiec „Straży“ w Kastropie* w Westfalii. W piątek dnia 2 lutego (święto Matki Boskiej Gromnicznej) po południu o godz. 4 i pół odbędzie się na sali p. Schulte-Becker w Kastropie I wiec „Straży“. Porządek obrad następujący: 1) Zagajenie. 2) Przemówienie delegata „Straży“. 3) Przerwa, podczas której zapisywanie kandydatów na członków „Straży“. 4) Dyskusya. 5) Zakończenie.

Jan Brzeskot, mąż zaufania „Straży“.

* * *

— *Od X. dziekana Mierzejewskiego z Niechanowa* otrzymał „Lech“ następujące pismo: Ponieważ się przekonałem, że domysły Szan. Redakcyi poszły także do innych gazet, przeto oświadczam w imię prawdy, że urzędu starosty „Straży“ zrzekłem się zaraz po nominacyi w sierpniu, ponieważ wiedziałem, że obowiązków, do urzędu tego przywiązanych nie zdążę wypełnić będąc dziekanem najrozleglejszego dekanatu. Taki też powód podałem zarządowi „Straży“.

W. Władza Duchowna do ustąpie-

nia mnie nie zmusiła. Że w spisie starostów mimo to figurowałem, pochodzi stąd, że zapewne „Straż“ na razie nie miała jeszcze nowego kandydata.

X. *W. Mierzejewski.*

O sprawę tę zaczepił „Lech“ władzę duchowną. Wykazuje się, że uczynił to w tym wypadku niesłusznie.

* * *

— *„Straż“ — hakatyzm — a księża:*

Znany hakatystyczny „Geselliger“ z Grudziądza omawia uwagi niektórych pism z powodu listu cesarza do ks. arcybiskupa Stablewskiego i pisze przytem o księżach, którzy należą do „Straży“. Na końcu wyraża takie życzenie: „Wobec takiego postępowania podwładnych, arcybiskupa Floryana Stablewskiego trzeba się pytać: Gdzież rząd pruski? Pruski rząd państwowy powinien przez naczelnego prezesa prowincyi poznańskiej wezwać arcybiskupa poznańskiego,*aby natychmiast zakazał wszystkim katolickim duchownym należeć do „Straży“.* Arcybiskup powinienby to uczynić z własnej woli, gdyby rzeczywiście z równą miłością obchodził się z niemieckimi katolikami jak z polskimi. Czy słyszano kiedy, iżby jakikolwiek ksiądz katolicki niemieckiej narodowości należał do niemieckiego Towarzystwa dla kresów wschodnich? Cóżby na to powiedzieli „pruscy“ biskupi?“

Wobec powyższego żądania „Geselligera“ słusznie domaga się „Dziennik Poznański“ od naczelnego prezesa, aby wszystkim pastorom protestanckim zakazał należeć do Towarzystw hakatystów.

* * *

— *Wiec w Horsthausen* (w Westfalii) odbył się ub. niedzieli. Zagaił go mąż zaufania „Straży“ p. J. Brzeskot i oddał przewodnictwo na życzenie obecnych p. J. Słaninie. Pierwszym mówcom był p. Mich. Skowroński z Duisburga — również mąż zaufania — i mówił o nowych projektach praw wyjątkowych i o nieprzychylności centrowców wobec Polaków. Pan Żniński, redaktor „Dziennika Polskiego,“ radzi p. Brzeskotowi, by dla dobra „Straży“ na razie nie występował w roli działacza i spór swój z „Wiarusem Polskim“ oddał pod sąd polubowy „Straży.“ — Wobec tego pan Brzeskot oświadcza, że „Straż“ uznała, że on z powodu sporu z „Wiarusem“ z widowni publicznej ustępować nie potrzebuje i że sprawa już oddana pod sąd „Straży.“ (Wątpimy, czy „Straż“ takie wobec sporu p. Brzeskota z „Wiarusem“ zajęła stanowisko — Red. „Pracy.“)

Zaszedł oczywiście i na tym wiecu spór o to, czy „Straż“ we Westfalii jest potrzebna czy nie. Tym razem kruszył kopię przeciwko „Straży“ p. Hain z Wiemelhausen. Wobec tego wniósł p. Żniński następującą rezolucyą:

„Polacy zgromadzeni na wiecu „Straży,“ odbytym w dniu 21 stycznia 1906 r. w Horsthausen, uznają potrzebę istnienia *jednolitej* organizacyi narodowej dla wszystkich Polaków w państwie niemieckiem. Dla tego więc gorąco popierają istniejącą organizacyę *„Straż“* z siedzibą w Poznaniu. Wobec jednak faktu, że w Westfalii i Nadrenii istnieje *„Związek Polaków“* o tych samych niemal celach, co „Straż“ w Poznaniu, domagają się energicznie, aby w celu jednolitej obrony narodowej „Straż“ unormowała swój stosunek do Związku Polaków. Gdyby „Straż“ nie dała inicyatywy do porozumienia się ze Związkiem Polaków, uważaliby wiecownicy, że „Straż“ ignoruje życzenia Polaków na obczyźnie.“

Słusznie domagają się rodacy nasi z Westfalii jakichś kroków „Straży“ wobec „Związku Polaków“ — rozumieją bowiem, że dwie organizacye o podobnych celach w Westfalii — *obok siebie* istnieć niemogą. Jeżeli Zarząd „Straży“ sprawą tą się energicznie nie zajął, to chyba dla tego, że w początkach organizacyi wiele spraw niedokończonych jest w toku. To też powinni bracia nasi z Westfalii uznać i nie niecierpliwić się — przeciwnie wierzyć w to, że „Straż“ względem Westfalii najlepszemi owiana jest chęciami i zajmie się nią, skoro praca jej jako tako równym potoczy się biegiem.

* * *

— *Wiec w Świeciu* (Pr. Zach.) Wspólnie z wiecem przedwyborczym odbył się wiec „Straży“. Jako starosta „Straży“ przedstawił się obecnym *ks. prob. Cyra* z Drzycimia, oświadczając, że powiat świecki ze względu na rozległość swoją zostanie podzielony na 4 starostwa. Jednemu byłoby niemożliwe podołać pracy organizacyjnej. O celach i zadaniach „Straży“ mówił redaktor p. Stef. Chociszewski z Poznania. Kandydatów na członków nie zapisywano, pozostawiając to osobistej agitacyi od ust do ust. — Straż przyjęta w Świeciu bardzo sympatycznie.

Mazury polonizują się?

Uciśniona niemczyzna co chwilę bije na alarm z powodu rzekomych postępów polskości, zwłaszcza na kresach. O nienasyconości apetytów niemieckich świadczy najlepiej zainteresowanie się Niemców kresami mazurskiemi. Raz w raz odzywają się głosy dowodzące konieczności szybkiej obrony przed zalewem polskości na Mazurach. Nawolywania te są oparte na nieprawdziwych rozumowaniach, bo Mazurzy najmniej ze wszystkich naszych kresów wschodnich podlegają procesowi unaradawiania się. Przeciwnie, postępy germanizacyi na Mazowszu pruskim są zastraszające, z naszej strony zaś prawie nic się nie robi w przeciwnym kierunku.

W nr. 276 „Orędownik“ zwrócił uwagę na artykuł „Germanii“ berlińskiej, w którym omawiano działalność banku „Ostpreussische Landgesellschaft“, utworzenie nowego obwodu rejencyjnego w Prusach Książęcych i in. Uważam za stosowne zaznajomić czytelników ze szczegółami, w artykule owym podanymi, tudzież objaśnić je i sprostować niedokładności.

Kilka miesięcy temu założono wspomniany bank parcelacyjny z siedzibą w Królewcu. Instytucya ta ma zastąpić komisyę kolonizacyjną, skupując dobra i rozsprzedając je w mniejszych parcelach między chłopów niemieckich. Dnia 27 listopada odbyło się w Królewcu posiedzenie rady nadzorczej „O. L.“ z udziałem radcy prezydyalnego dra Gramscha z Królewca, naczelnego prezesa Moltkego, komisarza ministeryalnego Schwartza, prezydenta banku rządowego Seehandlunga, przedstawicieli Landbanku i innych osób, których przynależność do danego banku wykazuje, skąd płyną fundusze na skupywanie ziemi na Mazurach.

Konieczność wykupywania ziemi oczywiście spowodowana jest masowem wykupywaniem dóbr na Mazurach przez Polaków z rąk niemieckich, recte potomków polskiej ongi szlachty w Prusach Książęcych. Zawsze my rozpoczynamy akcyę „zaczepną“, a Niemcy dopiero wtedy „bronią się“ przeciw temu. Tak się też rzecz ma z wykupywaniem dóbr na Mazurach. Pod tym względem takie szalone poczyniliśmy postępy, że obecnie na Mazowszu pruskiem jesteśmy w posiadaniu aż — pięciu majątków. Drżyj Germanio przed potęgą jaką przedstawia pięciu panów polskich na 19000 morgów. Przepraszam, zapomniałem doliczyć jeszcze 800 morgów pewnego „Polaka“ który jednak „nie jest takim zupełnym Polakiem“ — jak mi szczerze oświadczył, tudzież 4 morgów, które wraz

z domem kupił niedawno pewien kupiec Polak.

Rozmieszczenie owych dóbr jest następujące: w łeckim powiecie jeden obywatel ziemski na 3000 morgach, w niborskim tak samo, w ostródzkim jeden na 800, n. b. walczący z losem i jeden na 8000, który atoli nie mieszka w swoich włościach, nakoniec p. P., który w tych dniach nabył majątek w Niborskiem *). Nabytek nowy w powiecie regneckim uważam za bezprzedmiotowy w walce o odzyskanie Mazur, gdyż wspomniany powiat jest niemieckim, a Polacy stanowią tam nie więcej jak 0,8 proc. ogółu ludności. Pozatem ma być jeszcze jedna wieś powiatu węgoborskiego w polskich rękach, czego jednak nie mogę stanowczo twierdzić, nie przekonawszy się o tem.

Oto niebezpieczeństwo grożące z tej strony.

Dotąd germanizacyę Mazurów prowadzono oględnie, usiłując nie drażnić Mazurów, aby nie wywołać z ich strony silniejszej reakcyi. Obecnie widocznie zaczną się stosować i tutaj wszelkie środki, jakich się używa przeciw Polakom w zaborze pruskim. Że takie są zamiary widać z tego, iż utworzono nowy obwód rejencyjny, olsztyński. Prusy Wschodnie więc podzielone są obecnie na 2 obwody niemieckie: gąbiński i królewiecki i na 1 polski. Ostatni obejmuje następujące powiaty mazurskie: ostródzki, niborski, szczycieński,ządzborski, jańsborski, łecki, lecki, olecki i dwa powiaty polskiej Warmii: olsztyński i reszelski. Wyłączono więc dwa mazurskie powiaty: węgoborski, gdzie Polacy stanowią około 7 proc. i goldapski, z około 3 proc. Polaków, tudzież rastemborski, który również nie wykazuje wyższego nad 2 procent Polaków. Pierwsze dziewięć powiatów posiada ludność polsko-ewangielicką, która stanowi w poszczególnych powiatach od 40 do 80 proc. ogółu mieszkańców. Tylko dwa powiaty okręgu olsztyńskiego są katolickie, mianowicie warmińskie: olsztyński z około 50 proc. Polaków i reszelski z 16 proc. Wogóle stosunek procentowy katolików do ewangielików jest mniejwięcej taki: ewangielików 380,000, katolików 120000. W tych tylko jakieś 28000 przypada na Mazury.

Liczba katolików na Mazurach jak widzimy jest bardzo mała. Obecnie sekciarze — baptyści, gromadkarze itd. — już prawie tak silni są jak katolicy. Co się tyczy pożyteczności dla sprawy narodowej katolików na Mazurach, to stanowią oni żywioł niezbyt dodatni. Aczkolwiek pewien procent jest uświadomiony, to na uświadomienie swojego protestanckiego otoczenia wcale nie wpływają. U nich każdy Mazur jest Niemcem, ponieważ jest protestantem.

Tyle na razie zaznaczam odnośnie do artykułu „Germanii“, pozostawiając sobie na później obszerne omówienie stosunków narodowościowych na Mazurach. *Doliwa.*

*) Artykuł powyższy napisano przed miesiącem; wobec tego zaznaczyć należy, że pod koniec grudnia jeszcze jeden majątek w Niborskiem przeszedł w ręce polskie.

Tydzień polityczny.

Republika francuzka ma więc nowego prezydenta. Pan Armand *Fallieres,* kandydat bloku republikańskiego, składającego się z radykałów i socyalistów rozmaitych odcieni, wybrany został zaraz w pierwszem głosowaniu, otrzymawszy około 450 głosów, co przy wyborze głowy państwa za trzeciej rzeczypospolitej francuzkiej zdarzyło się zaledwie dwa razy. Jego przeciwnik, kandydat konserwatystów, nacyonalistów i monarchistów, Paweł *Doumer,* otrzymał około 70 głosów mniej i pozostał nadal tylko prezesem Izby deputowanych.

Jakież jest polityczne znaczenie tego faktu tak dla Francyi jak i dla Europy? Dla Francyi określiły je dobitnie okrzyki, jakiemi publiczność witała wracających z aktu wyborczego senatorów i deputowanych. Okrzyki te brzmiały: *„Niech żyje Fallieres i republika!“* — oraz: *„Niech żyje Doumer i armia!“* Najlepszym zaś określeniem znaczenia wyboru Fallieres‘a dla *Europy,* jest — radość prasy niemieckiej.

Nie da się zaprzeczyć, że zwycięstwo tego kandydata jest zwycięstwem republiki; niestety tylko republiki po myśli najskrajniejszych żywiołów i kierunków radykalnych, a więc takiej, która w sposób bezwzględny, niemal tyrański zwalcza wszelkie kierunki i prądy przeciwne. Czy republika taka przyniesie Francyi szczęście na wewnątrz, jest rzeczą wątpliwą; na zewnątrz zaś napewno nie pomnoży jej znaczenia. Pod rządami Fallieres‘a wszystko pójdzie dalej dotychczasowym trybem, osłabiająca Francyę i poniżająca ją walka z Kościołem nie ustanie ani na chwilę, a tak samo trwać będzie dalej akcya, mająca na celu zamienienie armii na powolne narzędzie radykalnych możnowładców. Bo Armand Fallieres, syn wesołej Gaskonii, nie lubi płynąć przeciwko prądom, tem mniej zaś płynąć będzie przeciwko prądom, którym zawdzięcza wyniesienie swoje na najwyższe w państwie stanowisko. Inaczej zupełnie byłaby się przedstawiała sytuacya wewnętrzna Francyi, gdyby wybór padł był na *Doumera.* I to jest republikanin czystej wody, i on jest radykałem, ale w innym kierunku. Jego marzeniem było, przywrócić Francyi dawnej potęgi i dawnych wpływów na zewnątrz. W tymcelu pragnął on skupić cały naród pod sztandarem nie stronniczo, lecz *narodowo* - republikańskim, unikać wszystkiego, coby jedność jego osłabić mogło, a więc także walki z Kościołem, przedewszystkiem zaś dążył do podniesienia siły moralnej i samodzielności armii. Niezwykle ambitny, byłby zapewne od razu ujął ster rządów w *swoje* ręce. Lecz właśnie tego obawiał się *bloc skrajno republikański,* obawiał się on dyktatury, któraby położyła tamę jego rozkładowej działalności. Wytężono więc wszelkie siły, aby nie dopuścić Doumera do władzy i nie dopuszczono go rzeczywiście.

Prasa niemiecka widzi w tem tryumf idei *pokojowej.* Nie ulega wątpliwości, że gdyby Doumer był stanął na czele Francyi, Francya w niejednej sprawie ostrzej i stanowczej rzuciłaby swój głos na szalę, niż to czynić będzie pod prezydenturą Fallieres‘a i że wobec tego możliwość groźnych zatargów przez taki rezultat wyboru znacznie się zmniejszyła. Ale zapewniony w ten sposób pokój będzie i nadal owym ponurym pokojem *zbrojnym,* który już tak długo ciąży nad Europą, a który trzyma się zasady: *siła przed prawem.*

I na odbywającą się obecnie konferencyę *marokańską w Algesiras* w Hiszpanii wybór Fallieres‘a nie pozostanie bez wpływu. Obecny rząd francuzki nie postawi tam żadnej kwestyi na ostrym mieczu, raczej w niejednej ustąpi — i to już dostatecznie tłomaczy radość Niemców. Do tejchwili zresztą konferencya ta nie wyszła poza prace wstępne i głośne kwestye sporne nie stanęły jeszcze na porządku obrad. Nawet ugrupowanie się biorących w niej udział mocarstw nie jest jeszcze widocznem.

W *Rosyi* naprawdę na razie rząd carski tryumfuje nad rewolucyą. Ruch rewolucyjny przycichł na całej linii, wyczerpany walką, zgnębiony terrorem. Nawet rocznica owej krwawej zeszłorocznej niedzieli styczniowej minęła spokojnie, bez większych demonstracyi. Wtajemniczeni w istotę tego ruchu zapewniają wprawdzie, że jest to tylko cisza pozorna, cisza

przed nową burzą, że pod tą spokojną pokrywą nowe, groźniejsze od poprzednich przygotowują się wybuchy. Tymczasem atoli rząd jest panem sytuacyi.

I korzystając z tego pragnie wprowadzić w czyn przyrzeczoną narodowi konstytucyę przynajmniej do tyla, że zwoła „Dumę“ narodową. Nie czyni on tego jednakże bynajmniej w szczerej intencyi spełnienia woli narodu — wyłącznie tylko pod naciskiem... konieczności finansowej. Rosya potrzebuje koniecznie wielkiej pożyczki zagranicznej — a nie dostanie jej rychlej dopóki rząd jej nie uczyni chociaż pierwszego kroku na drodze zrealizowania zapowiedzianych reform. I to jest ową siłą, kierującą dziś rządem carskim. Za pewnik niestety uważać można, że czynownictwo rosyjskie wytęży wszelkie sposoby i sztuczki, aby zebrać się mająca „Duma“ nie była zbyt niebezpieczną dla „samodzierzawia.“ Dziś już, przy układaniu list wyborczych dzieją się tam liczne nadużycia. Liberalne koła narodu rosyjskiego ciężkie więc czeka zadanie, jeźli z wyborów wyjść mają nie kreatury czynownictwa, lecz ludzie świadomi swych obowiązków poselskich i potrzeb narodu. Walczyć tu będzie trzeba nie tylko z samowolą czynowników, lecz także z terorem skrajnych żywiołów rewolucyjnych, które trzymając się zasady i *„im gorzej tem lepiej“* nie chcą dopuścić do wyboru „Dumy.“ Dziś też trudno jeszcze przewidzieć choćby w przybliżeniu, jak się walka ta skończy, lub jaki będzie jej przebieg.

Zatarg między *Austro-Węgrami a Serbią* zamienił się rzeczywiście na otwartą *wojnę handlowo celną*. Serbia, jak wiadomo, zamierzała połączyć się z *Bułgaryą* unią celną. Unia ta miała na celu stopniowe wyzwolenie się obu tych państw słowiańskich na Bałkanie z zależności ekonomicznej od Austro-Węgier. To naturalnie nie podobało się tym austro-węgierskim niemiecko-żydowskim kołom finansowo-przemysłowym, które Serbią wyssały już prawie zupełnie. W prasie tych kół podniosła się wielka wrzawa. Zwróciły się one do wspólnego rządu austro-węgierskiego z żądaniem, ażeby do zawarcia unii tej nie dopuścił. I hr. *Gołuchowski*, wspólny austro-węgierski minister spraw zagranicznych uległ temu uciskowi. Zażądał on od Serbii, ażeby, jeżeli już nie chce zupełnie odstąpić od Unii, zastosowała ją do interesów Austro-Węgier. Na wypadek zaś oporu — zagrożono zerwaniem toczących się obecnie między Wiedniem a Belgradem rokowań o nowy traktat handlowy, ewentualnie zaś nawet zamknięciem granicy austryackiej dla wywozu serbskiego. Serbia wywozi za granicę głównie bydło i nierogaciznę, tej ostatniej do Austro-Węgier rocznie około ćwierć miliona sztuk. W Wiedniu mniemano więc, że owa groźba poskutkuje, że obawa przed ogromnemi stratami, jakie rolnictwo serbskie ponieść by mogło wskutek zamknięcia granicy austro-węgierskiej, złamie opór rządu serbskiego. Tymczasem grubo się w tem przeliczono. Rząd *bułgarski* oświadczył w Belgradzie, że w razie takiej wojny z Austro-Węgrami dopomoże Serbii skierować wywóz jej do innych krajów przez *swoje porty czarnomorskie,* nadto zaś przyrzekł jej wszelką inną pomoc materyalną i moralną. Wobec tego rząd serbski nie ustąpił i wojna celna z Austryą wybuchła rzeczywiście. W chwili gdy to piszemy, nadchodzą wieści, że także *Rumunia* stanęła po stronie serbskiej, że nawet zamierza przyłączyć się do unii celnej serbsko-bułgarskiej. Jeżeli to nastąpi, Austro-Węgry będą miały przeciwko sobie prawdziwą koalicyę państw bałkańskich, którą bodaj czy pokonać zdołają, bo i przemysł austro-węgierski potrzebuje koniecznie pola zbytu w tych krajach. Łatwo więc być może, że mocarstwo habsburgskie znajdzie się w bardzo trudnem położeniu. Hr. Gołuchowski dziś zapewne żałuje, że pozwolił się wpędzić w taką sytuacyę klice żydowsko-niemieckiej, lecz żal to po niewczasie. Coraz głośniej też odzywają się wieści, że jego stanowisko jest silnie zachwiane i że wkrótce *ustąpi*.

Publiczność niemiecka przebyła kilka dni niemałego niepokoju. Międzynarodowe komitety socyalistyczne wezwały„ proletaryat całego świata“, ażeby uroczyście, jednodniowym strejkiem i demonstracyami obchodził dzień 22 stycznia, jako rocznicę pierwszego wybuchu rewolucyi w Petersburgu. Zarząd partyi socyalno-demokratycznej w *Niemczech* postanowił obchodowi temu nadać cechę demonstracyi przeciwko trzyklasowemu systemowi wyborczemu do sejmu pruskiego i podobnie niesprawiedliwym ordynacyom wyborczym do sejmów innych krajów niemieckich. Konserwatywnych przeciwników socyalizmu ogarnęła na wieść o tem wielka trwoga. Uderzyli oni na alarm i wezwali rząd, ażeby tym demonstracyom przeszkodził ewentualnie *siłą broni*. Zaniepokojenie ogólne wzrosło jeszcze, gdy w Hamburgu przy sposobności socyalistycznych demonstracyi przeciwko pogorszeniu tamtejszej ordynacyi wyborczej na kilka dni przed dniem 21 b. m. przyszło do zaburzeń i do *krwawej walki z policyą*. We wszystkich miastach niemieckich władze zarządziły jaknajszersze środki zaradcze. Wszędzie w dniu 21-go b. m. wojsko stało pod bronią, gotowe do uderzenia na „buntujące się tłumy.“ Tymczasem ostrożność ta była zbyteczna. Okazało się, jak ścisłą jest karność w rzeszach socyalistycznych.

Na rozkaz przywódców, wszędzie odbyły się tylko zgromadzenia publiczne, na których protestowano przeciwko trzyklasowemu systemowi wyborczemu i wyszydzano przesadną obawę rządu — lecz demonstracyi ulicznych nigdzie nie urządzono. Groźna owa niedziela minęła zupełnie spokojnie.

W parlamencie niemieckim i sejmie pruskim toczą się w dalszym ciągu obrady nad etatem. W parlamencie omawiano przytem sprawy kolonialne, a mianowicie wyrok niemieckiego sądu kolonialnego, który skazał na długie kary więzienne siedmiu wodzów murzyńskich za to tylko, że ośmielili się wysłać skargę do Berlina na gospodarkę gubernatora tamtejszego Puttkamera.

M. O.

Polski Związek Zawodowy.

Założony w roku 1902 Polski Związek zawodowy rozwija się pomyślnie, jak widzimy z tegorocznego sprawozdania. Związek liczy obecnie 35 filii w poszczególnych miejscowościach w Księstwie, a nawet w Brandenburgii; członków Związku jest 2150. W ostatnim roku sprawozdawczym dochody Związku wynosiły 10 586 mk., a rozchody 9 581; pozostało zatem w kasie wraz z remanentem z roku poprzedniego marek 2 512. W niedzielę 20-go bm. odbyło się walne zebranie, na które przybyło 37 delegatów filii. Zebranie to, trwające od godz. 1-szej w południe do godz. $^1/_2$ do 11-tej wieczorem, omówiło mnóstwo ważnych spraw, między innemi piekącą sprawę połączenia się trzech polskich związków zawodowych mianowicie: poznańskiego, Związku Wzajemnej Pomocy w Bytomiu i Zjednoczenia zawodowego w Bochum. Delegat ostatniego wyraził życzenie utworzenia kartelu w ten sposób, aby każda z tych organizacyi, miała wspólny zarząd z siedzibą np. w Berlinie, pozatem jednak powinny związki posiadać szeroką autonomią, gdyż ustrój ich nie dopuszcza do zupełnego zlania się. Konkretny rezultat obrad był ten, że postanowiono urządzić w maju b. r. kongres wszystkich trzech związków w tej sprawie.

Ostatnie walne zebranie przeprowadziło również wybory do Rady Nadzorczej i Zarządu, w którego skład weszli: p. Nowicki, jako przewodniczący, pan Piotrowski, jako gen. sekretarz, pan Komorski, jako skarbnik, tudzież pp. Krystek, Pluciński, Małolepszy i Leśniak. W skład Rady Nadzorczej, którą powiększono o 5 członków, wchodzą pp.: Dr. Rydlewski, Ks. Gapczyński, K. Rzepecki, Teodor Krause, Ks. Kanonik Adamski, Kostka, Grabianowski, Kraszewski, Dubczyński i Hoch.

Wiadomości.

* **Rewizya** *procesu pp. Macieja Wierzbińskiego i Bolesława Rakowskiego* została, jak się dowiadujemy z biura p. mec. Dziembowskiego, przez sąd rzeszy odrzuconą. Wyrok zatem skazujący p. M. Wierzbińskiego na *półtora roku więzienia* został tem samem zatwierdzony. Kaźń — dotąd doznająca pewnych ulg na podstawie praw przysługujących więźniom, znajdującym się w śledztwie, nabierze zwykłej, ostrej cechy więziennej. My koledze naszemu życzymy z całego serca, by kaźń tę przetrwał z tem przeświadczeniem, że winy, której dopatrzył się w artykułach jego sąd, — nie uznaje społeczeństwo polskie. Przeciwnie opinia polska p. Wierzbińskiego uznaje niewinnym, a więc męczennikiem za sprawę narodową, za sprawę polską i oddaje mu za to winną cześć i szacunek tak samo, jak ją oddawała i oddaje tylu innym poprzednikom jego na tej ciernistej drodze.

* **Regencya** — *patronem katolickiego Kościoła.* Dziś wiele istnieje parafii katolickich, których patronat skutkiem przefrymarczenia ziemi komisyi kolonizacyjnej przeszedł na regencyę. Rzeczywiście, że regencya z wypełnianiem obowiązków swych się ociąga, albo wręcz ich unika. Tak działo się według korespondencyi „Lecha“ w głośnej parafii w *Łubowie.* Objąwszy patronat regencya nie chciała płacić przypadającej na nią części premii ubezpieczenia od ognia i zrzekła się prawa do udziału w premii w razie pożaru. Gdy się jednak spaliła stodoła, to do dziś już rok prawie wyszukuje powodów, by przypadającej na nią części nie płacić, albo obarczyć biedną parafię jakąś kwotą po nad otrzymane ubezpieczenia. Ale dozór kościelny i ks. proboszcz trzymają się twardo. Cierpi na tem tylko dzierżawca probostwa, który przez rok obywać się musi bez stodoły.

Sprawa parafii łubowskiej może posłużyć innym parafianom na wzór i przestrogę. Niech pamiętają wszystkie o tem, że

1) premii ogniowej nie należy płacić z kasy kościelnej, tylko z podatków. Tę pozycyą trzeba usunąć z etatu kościelnego,

2) gdy fiskus kupi patronat Kościoła, nie należy zniżać zabezpieczenia na $^1/_3$ wartości budynków i furmanki. W razie pożaru odliczą tyle z odszkodowania, że nigdy nie starczy na nową budowlę. Należy zabezpieczyć całą wartość budynku i ogłaszać całą premią z podatków kościelnych. Gdy Prowincyonalne Towarzystwo Ogniowe nie chce przyjąć całego zabezpieeczenia, należy z niego wystąpić.

3) Od fiskalnego patrona należy żądać pisma, że się zrzeka prawa do odszkodowania, jeżeli płacić premii nie chce, że odszkodowanie całe otrzymają parafianie — nie kasa kościelna.

* **Skutki** *niemieckiej nauki religii.* Jedna z gazet śląskich tak opisuje wizytacyę szkoły. Nauczyciel zadaje jednemu z chłopców następujące pytanie, naturalnie po niemiecku: Na którem soborze ustanowione zostało czwarte przykazanie kościelne? — Zamiast odpowiedzieć: „na loretańskim“, jak go nauczyciel nauczył, odpowiedział chłopiec: „Auf Veteranen koncil“ (na soborze weteranów).

Ks. dziekaan pyta: „A wiesz ty chłopcze, co to znaczy „veteran“? — Tak, odpowiada chłopiec. „Veteran“ — to jest kogut na dachu, wskazujący powietrze (Wetterhan).

Drugi wypadek. Podczas wizytacyi szkolnej w tym samym obwodzie zadaje nauczyciel pytanie: Czem jest Pan Bóg? Chłopiec odpowiada: Pan Bóg jest najwyższą istotą, która stworzyła cały świat (der die ganze Welt erschaffen hat) — A więc co zrobił Pan Bóg? powtarza nauczyciel. — „Er hat eine ganze Heerde Schafe“ (ma całą trzodę owiec) — brzmiała odpowiedź.

Takie to owoce wydaje nauka religii w obcym dla dzieci języku. I dziwić się tu, że młodzież polska dziczeje.

* **Skutki** *prawa osadniczego.* Chałupnik Michał Łuczka we Friedrichswalde(?) niedaleko Gąsawy, kupił parcelę od właściciela ziemskiego p. Stepczyńskiego i rozpoczął na niej budowę domu bez pozwolenia władzy. Komisarz obwodowy z Gąsawy zakazał dalszej budowy i groził jej opieczętowaniem w razie nieusłuchania zakazu, następnie wykonał tę groźbę, gdy Łuczka dalej budował. Opieczętowali budowę komisarski egzekutor i żandarm w ten sposób, że na obydwóch szczytach budowy umieszczono deski i przyłożono na nich pieczęcie komisarskie. Po tygodniu Łuczka usunął deski. Za to stawał przed sądem i skazano go na miesiąc więzienia.

— *W W. Pałubinie* w Kościerskiem (Pr. Zach.) kupił Michał Urbaniak 12 mórg roli wraz z stodołą, w której jego poprzednik już 8 lat mieszkał. P. Urbaniak, wprowadziwszy się do owej stodoły, wniósł jednakże o konsens na wybudowanie, który mu też w połowie przyrzeczono. Nic też dziwnego, że zakupił do budowy odpowiedni materyał. Naraz odbiera pismo, iż konsensu nie otrzyma, to też niechaj sprzeda lub wydzierżawi, bo jeżeli do 1 lipca z tej stodoły się nie wyniesie, zapłaci 30 marek kary. W dodatku będzie owa stodoła a raczej urządzone tam ognisko na jego koszt urzędowo zburzone.

Takie rzeczy dzieją się w państwie „wolności i prawa“. Czy też lud nasz przez to nabierze — „miłości“ do rządu pruskiego? — Wolno nam powątpiewać.

* **Frymarka ziemią.** *Baby* — folwark kilkasetmorgowy sprzedaje pan *Brustmann,* Polak — landbankowi. Taką wieść podaje „Gaz. Ostrowska“, dodając, p. Brustmann zakrywa się tem, że ani p. Ritter ani bank Drwęski i Langner nie mogli rozparcelować Bab, więc nie pozostaje mu nic innego, jak sprzedać Niemcom.

„Na *Krempie* pod Ostrowem pertraktował żyd o kawał ziemi z gospodarzem Jurkiem, by na niej pobudować śpichrz. Cena już była umówiona i mieli iść do kontraktu, gdy przyjechała siostra gospodarza p. Kępińska z Gniazdowa. Siostra zaprotestowała energicznie przeciw sprzedaży ziemi innowiercy“.

— Więcej takich!

* **Frymarka ziemią:** We środę obeszla Poznań wiadomość, że *Junikowo,* folwark obejmujący 800 mórg roli przeszedł za cenę 360 tysięcy marek na własność komisyi kolonizacyjnej. Junikowo od czterech lat przeszlo z rąk p. Stanisława Płotkowiaka w ręce Ungra, żyda i od tego w ręce p. Wintersbacha, który sprzedał je kolonizacyi. Kiedy swego czasu p. Płotkowiak kupił Junikowo, cieszono się ogólnie, że ziemia ta zostanie w rękach polskich. Pan Pł. sprzedał bowiem grunta swoje na Winiarach pod Poznaniem magistratowi bardzo korzystnie, zaliczano go do ludzi zamożnych i sądzono, że nie skusi się na lekki zysk. Tymczasem pomylono się. Pł. ofiarował sam Junikowo za 204 tysiące kolonizacyi, gdy do zgody nie przyszło, wyborgował od Ungra 280 tysięcy. — Komuż tu teraz wie-

rzyć?! — Widocznie ani bogatym, ani biednym, ani wielkim, ani małym, lecz tylko — uczciwym ludziom. Tacy — Polski nie przefrymarczą.

Sprawdza się również, że i p. *Müller z Łuczkowa* w kościańskiem sprzedał folwark swój — Niemcom. Łuczkowo obejmuje 550 mórg ziemi. Ojciec tego Müllera — jak donosi „Dz. Poznański“ — wychowany przez hr. Stanisława Platera, był rządzcą zaufanym we Wroniawach. Był w powstaniu w 63-im roku i znów do Wroniaw powrócił. Człowiek był dzielny, szanowany i zacny.

Syn dorobił się majątku u p. barona Chłapowskiego w Szołdrach. Był znakomitym gospodarzem i zdawał się być porządnym człowiekiem. I taki koniec! Strach pomyśleć, co się z nami dzieje!

„Wielkopolanin“ dowiaduje się z nadesłanego mu listu, że p. Florkowski z Żegrza pod Poznaniem zamierza sprzedać swoje 30-morgowe gospodarstwo komisyi kolonizacyjnej. Pan F. jest zamożnym i nie potrzebuje sprzedawać kolonizacyi. — Czy to prawda?

* **XXXIX Sejmik gospodarski w Toruniu** odbędzie się we wtorek 20 lutego b. r. o godz. 11 przed południem na sali „Muzeum“.

Rozprawy będą na temat:

1) Najważniejsze przepisy ustawy osadniczej.

2) Bakterye azotowe i ich działalność w rólnictwie.

3) Finansowanie w gospodarstwie wiejskiem.

4) Jak rozwijają się Towarzystwa i Kółka nasze rólnicze po powiatach?

Na intencyę rólnictwa polskiego odbędzie się o godz. 9 rano msza św. w kościele św. Jakóba.

Gospodarze.

* **Pan Władysław Kużaj** — dowiadujemy się — sprzedał swoją aptekę w Gniewkowie — Niemcowi. Pan Wł. K. należy do tych Polaków, którzy uczyli się za stypendyum pobierane z funduszów Pom. Naukowej Im. Karola Marcinkowskiego, aptekę tę kupił za pieniądze polskie, uzyskane z polskich banków za poręczeniem Polaków, otrzymał swego czasu pochwały prasy z powodu kupna — a teraz przefrymarczył. Z wiarogodnego źródła podają nam, że p. K. zakrywa się tem, że po śmierci ś. p. dra Glabisza nie ma w Gniewkowie lekarza, któryby go należycie popierał. Podobne twierdzenie nie odpowiada istotnemu stanowi rzeczy. Bowiem Gniewkowo samo w ostatnich latach ogromnie się podniosło, tak samo i okolica jest zamożna — kujawska. Zresztą p. K. oprócz zysku miał przez czas swego pobytu w Gniewkowie świetne utrzymanie. — W każdym razie więc krok p. Kużaja nie licuje z obowiązkami prawdziwego Polaka. Jeżeli napiętnujemy sprzedawczykami tych, co ziemię sprzedają, tak samo musimy napiętnować tych, co zaprzepaszczają tak ważne posterunki w miastach, jakiemi są apteki. — Wstyd p. Kużajowi za to.

* **Chleb dla Rodaka.** W większem mieście gimnazyalnem koniecznie jest potrzebny bławatnik Polak. Kupiec rzutki z jakim takim kapitałem ma świetne powodzenie zapewnione!

Prosimy się zgłaszać do „Gazety Polskiej“ w Kościanie.

Inne gazety prosimy o powtórzenie tej notatki.

***Ku przestrodze** *naszych gospodarzy* niech posłuży następująca wiadomość: Zdarza się coraz częściej, że gospodarze nasi otrzymują z urzędów landrackich i komisarskich zapozwy na termin. W terminie wypytuje się ich landrat, względnie komisarz, czy chcą ziemię swoją sprzedać itd. Świeżo znowu gospodarz Malka z Wielkich Świątnik — jak pisze „Lech“ — został wezwany na landraturę w podobnej sprawie i na zapytanie oświadczył, że gotów swoje 80-morgowe gospodarstwo sprzedać, jeżeli dostanie 500 mk. za morgę.

Zachodzi teraz pytanie, czy landrat ma prawo w podobny sposób nagabywać obywateli polskich do zaprzepaszczenia ziemi. Posłów naszych w sejmie pruskim prosimy, aby tę sprawę poruszyli i zapytali rząd, czy landraci i komisarze mają w tym względzie jakie wskazówki z góry i czy rząd godzi się na podobne postępowanie urzędników, którzy powinni równo dbać o interesa wszystkich obywateli.

Gospodarze, którym podobnymi terminami sprawia się zmudę i koszta, powinni skarżyć o odszkodowanie.

* **Sprostowanie:** Podaliśmy w ostatnim numerze za „Gaz. Polską“, że gospodarz *Jan Sekuła* z Nacławia pod Kościanem swe 80 morgowe gospodarstwo sprzedał fiskusowi. Wiadomości tej zaprzecza pan Sekuła i pisze pomiędzy innemi:

Powinienem teraz po publicznem shańbieniu mego nazwiska rzeczywiście gospodarstwo moje sprzedać Niemcom, ale *tego nie zrobię* i oświadczam, że gospodarstwa mego za *żadne pieniądze nie sprzedam; przeciwnie,* mam zamiar jeszcze *jedno* gospodarstwo *dokupić.*

Powiadają mi Niemcy, że mój poprzednik P. G., od którego przed 3 laty gospodarstwo kupiłem, choć to był człowiek wykształcony, zamierzał gospodarstwo to rzeczywiście sprzedać fiskusowi i nawet się o to ubiegał, żeby fiskus gospodarstwo to kupił, a nikt się o to nie troszczył, bo jak to mówi przysłowie: „Panu wolno, księdzu nie grzech!“ Jak chłop krzywo nadepnie, to go wszyscy zaraz widzą.

Proszę list ten umieścić w najbliższym numerze.

Z wysokim szacunkiem
Jan Sekuła.

To oświadczenie umieszczamy chętnie, choć zaznaczyć musimy, że niezrozumiałą jest rzeczą, jak ktoś dla tego miałby mieć obowiązek sprzedać Niemcom swą ziemię, ponieważ go o to posądzono. Niesłusznie też pisze p. Sekuła, że szczególnie „jak chłop nadepnie krzywo, to go wszyscy widzą“ — bo nadepnęli Morawscy, nadepnęli Dobrogoyski, Żychliński i Grabski krzywo — a też ich wszyscy widzieli. Tę sprawiedliwość należy oddać prasie, że pomiędzy sprzedawczykami różnic nie robi, nie potępia jednych mniej od drugich — W każdym razie dobrze robi p. Sekuła, że nietylko nie sprzedaje swego gospodarstwa, ale chce dokupić jeszcze inne, to jest jego obowiązkiem tak samo jak każdego polskiego gospodarza — w ogóle.

* **Proces** o obrazę cesarza odbył się we wtorek przed izbą karną przeciwko naczelnemu redaktorowi „Posener Ztg.“, dr. Ritterowi, który w nr. 509 skrytykował mowę cesarza, wygłoszoną do generałów przy odsłonięciu pomnika Moltkego. Dr. Ritter przyznał się, że jest autorem owego artykułu. Prokurator Pilling wywodził, że w artykule kilkakrotnie obrażono cesarza, wniósł przeto o 4 miesiące więzienia fortecznego; sąd skazał dr. Rittera na 3 miesiące fortecy.

* **W polskie** ręce! Do „Dz. Pozn.“ piszą: Wobec frymarki ziemią grasującej i pomiędzy włościanami, warto zanotować, że dotychczasowy robotnik Norek wykupił w *Brodach* pod Lwówkiem z rąk niemieckich 26-morgowe gospodarstwo z inwentarzem żywym i martwym za 4000 talarów. Wpłacił 2400 talarów, które sobie pracą i oszczędnością przez kilkoletni pobyt w Westfalii uciułał; reszta zahipotekowana. Szczęść mu Boże.

***Z teatru:** „*Thermidor*“ Wiktoryna Sardou, odegrany w ub. sobotę po raz pierwszy na scenie teatru polskiego, to dramat na tle — wielkiej rewolucyi francuskiej, przypominający krwawe obrazy i rozpasany tłum paryski, wołający za lada podejrzeniem lub plotką o śmierć dla tych, co nie krzyczą z nim razem: śmierć arystokracyi, precz z religią. Śliski to temat dla dramatu. Nie łatwo ominąć trudności, jakie się nasuwają n. p. by nie przesa-

dzić w obrazowaniu grozy, mogącej zamiast estetycznych wywołać u widza przykre lub przygnębiające wrażenia. Sardou ominął te wszystkie trudności doskonale, dał nam pomimo tego pewien całokształt tego co się w chwili, którą dramatyzuje, we Francyi działo. Sztukę tę warto zobaczyć szczególnie i dla tego, że nasuwa ona obrazy porównawcze z tem, co się obecnie w Rosyi dzieje.

* **Z Mielżyna** donoszą „Lechowi", że p. *Dobrogoyski* zapisał się w pamięci parafii tamtejszej na długie lata. Przed rokiem wydzierzawiać miano grunta proboszczowskie. Kilku Mielżyniaków chciało je parcelami wydzierzawić, ale musieli się obyć smakiem, bo dzierzawę dostał patron kościoła p. Dobrogoyski. Smutnej pamieci jegomość ten sprzedawszy na kolonizacyą majątek swój, wyniósł się, pozostawiwszy grunta proboszczowskie gole jak bicz, nieobsiane, nie uprawione i bez nawozu. Widocznie z zamiarem swoim dawno się nosił i dla tego w roli proboszczowskiej nic nie robił. Nasz X. proboszcz jest teraz w wielkim ambarasie.

* **Oświadczenie:** W ostatnim numerze „Pracy" znajduję wiadomość, że składkę do Tow. wyborczego zapłacili pp. Leon, Józef, Andrzej, *Władysław*, Wojciech i Stanisław Jezierski — natomiast miał nie zapłacić p. M. Jezierski — tej składki.

Otóż oświadczam, że jestem właścicielem firmy M. Jezierski i według własnego wykazu „Pracy" składkę zapłaciłem, wpisałem się natomiast do listy nie firmą, lecz własnem imieniem i nazwiskiem. Z poważaniem

Władysław Jezierski.

Od Redakcyi: Z tego oświadczenia przekonujemy się, żeśmy panu Władysławowi Jezierskiemu, właścicielowi firmy M. Jezierski istotną wyrządzili krzywdę. Wina tego jednakże nie spada na nas, lecz na fałszywą relacyę woźnego Tow. Wyborczego. Pomimo tego mamy sobie za obowiązek krzywdę tę naprawić, tem więcej, że od skarbnika Tow. Wyborczego dowiadujemy się, że p. Władysław Jezierski do Tow. należy od samego prawie założenia tegoż i chętnie obowiązek swój obywatelski względem niego spełnia.

* **Środa**, 22. 1. 06. Osiadł u nas przed niedawnym czasem weterynarz Polak p. Koplińśki, który od razu wyrobił sobie bardzo dobrą praktykę. Mieliśmy nadzieję, że wreszcie zabierze się do pracy narodowej. Zamiast tego przed niedawnym czasem dowiadujemy się, że ten pan weterynarz, Polak, wstąpił do niemieckiego towarzystwa rolniczego. Po zebraniu, na którem przyjęto p. K. na członka, uczciwsi Niemcy wyrażali wobec Polaków nieklamane zdziwienie, poco w ich czysto niemieckiem towarzystwie znalazło się to polskie — piąte koło u woza. Ironizują Niemcy na temat: czem p. Kopliński jest, Niemcem czy Polakiem, a dziwić im się nie można. Dziwić się tylko wypada człowiekowi inteligentnemu, że się pcha tam, gdzie go sobie bynajmniej nie życzą i traktują „per nogam" — nie mówiąc już o tem, jak takie postępowanie da się pogodzić z poczuciem godności narodowej. *..Cep.*

* **Objezierze**, 22. 1. 1906. Donoszę, że porucznik *Witold*, a nie Wincenty Turno poległ pod Ignacewem. Wincenty był ojcem Hipolita i Witołda, który poległ w tej bitwie. „Praca" w Nr. 5-tym podała zatem mylnie ojca zamiast syna jako poległego. — Witołd był bratem ś. p. Hipolita z Objezierza, a Wincenty był ich ojcem.

Z szacunkiem

Kaczmarek,

rendant dóbr Objezierskich.

Od redakcyi: Dziękujemy za łaskawą informacyę.

* **Piaski**, *dnia 21-go stycznia 1906 roku.* Z naszego zapadłego kąta, przesyłam Szanownej Redakcyi i przyjaciołom naszym kilka wiadomości świadczących, że i u nas życie narodowe i społeczne budzi się i coraz w szersze zatacza koła. Statystyka ostatnia ludności naszego miasteczka, wykazała, że liczba obywateli mojżeszowego wyznania, od 50 lat coraz więcej malała. W roku 1840 było tu przeszło 250 przedstawicieli tego wyznania. Obecnie jest ich tylko kilkunastu. Ich miejsce zajęli nasi kupcy i przemysłowcy, którzy korzystają z dzisiejszego prądu „swój do swego", i wcale dobrze ów ubytek zastępują. Wszystkie restauracye i wszystkie handle prawie, znajdują się dziś w ręku Polaków. Wśród tak rozbudzonego życia, zawiązały się tu od kilku lat towarzystwa, zaspakajające potrzeby duchowe. Jednem z nich jest towarzystwo przemysłowe, drugie tow. robotników, a trzecie kongregacya św. Wincentego a Paulo. — Towarzystwo robotników dawało, w niedziele 7-go i 14-go t. m., staraniem X. Ludwika z Wiel. Strzelcza, przedstawienia teatralne, na których z wielkiem powodzeniem odegrało „Trafiła kosa na kamień" i „Posag w kominie." Amatorzy miejscowi pochodzący po części ze stanu robotniczego, nadzwyczaj dobrze odegrali swoje role, z tąd wielkie było zadowolenie ze strony spektatorów, wśród których znajdował się wielce szanowany w całym powiecie p. hrabia Żółtowski z Godurowa, biorący zawsze chętnie udział we wszystkich sprawach narodowo-społecznych. Cześć za to, i bodajby przykład jego pociągnął do naśladowania wszystkich innych panów, którzy przy takich sposobnościach zwykli świecić nieobecnością.

W. Ullmann, org.

* **Kamienica** (w Saksonii) d. 22. 1. 1906. Szanowna Redakcyo! Z uwagi, iż „Praca" jest pismem najwięcej rozpowszechnionem pomiędzy Rodakami na obczyźnie; — udajemy się do Szanownej Redakcyi z prośbą o łaskawe umieszczenie w „Pracy" następującego ogłoszenia:

Tow. Polskie „Jedność" w Kamienicy, (Chemnitz i S.) — niniejszem podaje do wiadomości w „Pracy," iż mieści się w lokalu Rest. „Neue Welt," Untere-Aktien str. Nr. 10. Posiada obszerną bibliotekę i czytelnię.

Posiedzenia Tow. odbywają się w 1-szą niedzielę każdego miesiąca o godzinie 3-ciej po południu.

Rodaków przebywających stale lub czasowo w Kamienicy i okolicy, uprzejmie zapraszamy do grona Tow. naszego. Goście mile widziani."

Zarząd.

* **Sokół** *na obczyźnie. Ewing*, pod Dortmundem, 15. 1. 06. W niedzielę, dnia 7 stycznia odbyło się walne zebranie Tow. gimn. „Sokół," na którem odbył się wybór zarządu i złożono obrachunki roczne. Dochodu miało gniazdo w roku ubiegłym 331,50 mk., rozchodu 319,02 mk., zatem pozostaje w kasie 12,48 mk. Druhów liczyło gniazdo na początku ubiegłego roku 39, w ciągu roku przystąpiło przeszło 50, dwóch wyjechało do wojska, zatem liczy obecnie gniazdo nasze przeszło *90 druhów*. Zwyczajnych posiedzeń odbyło się 10 i dwa walne. Ćwiczenia odbywały się w każdą środę i sobotę, na które zawsze więcej niż połowa druhów uczęszczała. Ćwiczenia będą się i nadal co środę i sobotę odbywać, posiedzenia w każdą drugą niedzielę w miesiącu. Do zarządu na rok bieżący wstąpili następujący druhowie: Narożny Franciszek prezes, Mikołajczyk Aleksander sekr., Kluczyński Franciszek skarb., jako naczelnik dh. Nalazek Józef, podnaczelnik dh. Bereszyński, jako pierwszy szeregowiec dh. Kaczmarek, drugi dh. Cieślik Stanisław, jako bibliotekarz dh. Kąkolewski Józef, zastępca dh. Paluch Andrzej, jako rewizorowie kasy Szczęsny Józef i Dydymski Roman, porządkowi sprzętów dh. Zborowski Wincenty i Malinowski Franciszek.

Czołem! *A. M.*, sekr.

* **Wystawa** *rysunków.* W oknie wystawnem składu towarów stalowych i szczotkarskich p. *Edwarda Karge'go* w Bazarze przy Nowej ulicy No. 7 i 8-my, wystawił p. architekt *Zdzisław Mueller* z Wrocławskiej ulicy No. 13 swe rysunki konkursowe, przeznaczone na budowę nowego kościoła (w stylu gotyckim) *do Kamieńca,* w dekanacie grodziskim), na co osobom interesowanym, a przedewszystkiem przewielebnemu duchowieństwu zwracamy uwagę.

* **Ślub.** Dnia 14-go b. m. odbył się ślub w kościele Bożego Ciała, panny Heleny Tarki obecnie w Poznaniu i pana Maksymiliana Pawlickiego. Ślubu udzielił łaskawie czcigodny ks. Szrajbrowski. Do ołtarza poprowadził pannę młodą brat jej, architekt Cz. Tarka z Pomeranii. Gości weselnych podejmowały bardzo gościnnie ciotki panny młodej: pani Pałkowska i panie Roesler. Szczęść Boże młodej parze!

Reklama.

Poniższe ogłaszające się stale w „Pracy" firmy polskie polecamy względom Szanownych Czytelników:

M. Jezierski, największa i jedyna polska parowa warzelnia smalcu i fabryka tłuszczy spożywczych w Poznaniu przy ul. Południowej 4 naprzeciw rzeźni miejskiej. Wszelkie wyroby wzmiankowanej firmy, cieszącej się liczną klientelą, zjednały sobie u konsumentów zupełne zadowolenie, chociaż, niestety! jeszcze wielu z naszych rodaków woli gorszy towar za droższe pieniądze sprowadzać od obcych ze stron dalekich, nawet z Hamburga. Nadmieniamy, że *specyalnością fabrykatów p. J. jest tłuszcz topiony z doprawą, opatrzony w prawnie zastrzeżoną markę „Emjot".* Tłuszcz ten posiada bardzo delikatny smak i zapach i równa się zupełnie smalcowi gęsiemu. Właścicielem firmy jest gorliwy obywatel i rzutki przemysłowiec p. *Władysław Jezierski.*

St. Brzeski w Poznaniu przy ulicy św. Marcina 64. sprzedaje *samochody* osobowe i ciężarowe z najsławniejszych fabryk krajowych i zagranicznych po cenach zakupna, a używane po nader przystępnych cenach. Pan B. ma także na składzie pneumatyki i przybory.

G. Ritter w Poznaniu przy ulicy Wodnej 27 — *interes parcelacyjny i finansowy.*

G. Ritter w Poznaniu przy ulicy Wodnej 27 i placu Sapieżyńskim 11, poleca *najlepsze młodzie funtowe* z fabryki Lubańskiej w powyżej wymienionych składach mąki.

W. Janaszek w Poznaniu przy ulicy Jezuickiej 1 (w narożniku Starego Rynku) — *magazyn wypraw, porcelana,* szkło, *lampy, naczynia różne kuchenne i inne.* Stała wystawa. Cennik za żądanie bezpłatnie.

Pankalla i Krenz, biuro miernicze i melioracyjne w Poznaniu ul. Wiktoryi 2, w Kościanie i w Kaliszu. Specialność: *drenowanie, nawodnianie i osuszanie łąk.*

Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu przy ulicy św. Marcina i narożniku Piekar, poleca *dzieła pedagogiczne* Reussnera do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki języków obcych bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i t. d. pod tyt. *„Samouczek."*

Kaźmierz Krenz, właściciel restauracyi t. zw. *„Kislingerbräu"* w Poznaniu przy placu Wilhelmowskim, poleca swą wyborową kuchnią: obiady, śniadanie i kolacye, nadto znakomite wina i piwa.

Nowy Browar grodziski w Grodzisku prosi odbiorców o jak *najrychlejsze nadesłanie zamówień na piwo grodziskie marcowe,* aby módz wszelkim życzeniom zadość uczynić.

Walenty Jarosz, właściciel znanego powszechnie *„Małego Bazaru"* w Poznaniu przeniesionego od stycznia r. b. z placu Piotra na ulicę Wilhelmowską 21, poleca w wielkim wyborze *wszelkie materyały piśmienne i biurowe, zabawki, towary galanteryjne i luksusowe* po cenach umiarkowanych.

Józef Sroczyński, jedyny polski zakład artystyczny dla wewnętrznej architektury, przy ulicy Wiktoryi 15. w Poznaniu. Pan S. urządza całe pomieszkania, pokoje osobne i salony w każdym stylu i guście, od najskromniejszych do najwspanialszych oraz dostawia meble. Dokładna znajomość zawodu, długoletnia praktyka oraz studya w Paryżu, Brukseli, Wiedniu, Monachium i t. d. — oto najlepsza rękojmia p. S. wobec klienteli.

* **Książ.** — Poważany obywatel naszego miasta, *p. Fr. Przybylski* nabył drogą kupna w *Święcichowie* pod *Lesznem Dom towarowy z wyszynkiem* przy rynku. Naszego rodaka polecamy, względom Szanownych Czytelników Święcichowa i okolicy oraz zasyłamy mu staropolskie „Szczęść Boże!"

Od Redakcyi.

— *Panu Władysławowi Motyce w Amiens.* Cierpieć musimy, to już taka dola redaktorów Polaków pod zaborem pruskim. Książek wydawnictwo „Pracy" nie posiada i nie sprzedaje. Za serdeczne życzenia dziękujemy. Pieniądze za prenumeratę administracya „Pracy" odebrała.

Panu Jerz. Zyg... Wierszyk niegorszy, ale do „Pracy" nie nadaje się.

Panu Michałowi D. — Hillegossen. Sprawy tej wagi nie można ani listownie ani w krótkich uwagach załatwić. Byłoby to lekceważeniem. Jak Pan przybędzie do Poznania, to prosimy, niech się Pan zgłosi do nas, wtenczas sprawę tę omówimy.

— Ty mnie już chyba nie kochasz.
— Jakto? Przecieżem cię już dziś 15 razy pocałował. — Właśnie... Bo kto kocha ten nie liczy pocałunków.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

SZPIEG.

OBRAZEK NARYSOWANY Z NATURY

przez

B. BOLESŁAWITĘ.

11)

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

— Nędza, namowy tych łotrów, próżniactwo, rzekł bijąc się w piersi, wciągnęły mnie w to piekło, którego dziś padam ofiarą; winienem prawda, wyznaję, spodliłem się, gubiłem ludzi, ale też sam ginę jak oni. Jednego miałem syna, któregom nad życie kochał, i samem przyprowadził oprawców, aby go schwycili wraz z innymi; pełzałem im po nogach żeby go uwolnić, odepchnęli mnie z szyderstwem. Wczoraj poradził mi niegodziwiec jakiś, abym szedł z córką żebrać jeszcze ich litości, a dziś przed kilku godzinami gdym powracał od namiestnika, który wręcz prośbie mojej odmówił, zastałem w domu u siebie Moskala, który córkę moją napadł. Miałem go już w moich rękach, wyrwał mi się ale nie on to drugi odpokutować musi...

Długo tak jeszcze mówili z Kuźmą, aż się on dobrze przekonał o usposobieniu Preslera i szepnął mu nareszcie:

— Żal mi cię mój bracie, ale może jest jeszcze jeden ratunek. Udawałeś się do Moskali, gdybyś spróbował uciec się do towarzyszów swego syna? do naszych? Przecież ich wszystkich razem nie wybrano!

— Tak! odrzekł smutnie Presler, jakże ja tam oczy przed nimi pokażę? oni pomyślą, żem przyszedł ich zdradzić, że wydam ich, aby ocalić syna. Znają oni mnie i wiedzą kto jestem, stryczek, nie pomoc gotują dla mnie!

— Nie znasz ich, rzekł Kuźma, który się poczciwie po polsku i nieostrożnie po polsku z pełności serca wygadywał — litościwi to ludzie, choć nieraz muszą na śmierć osądzić i porwać się na życie. Jam prosty człowiek i dobrze tych rzeczy nie rozumiem, ależ kiedy wolno Moskalom bez sądu, bez prawa, bez obrony zabijać, wieszać i strzelać, czyżby nam niegodziło się bronić? Krzyczą, że nasi zabijają po ulicach, niechże policzą ileśmy, a ilu oni zabili? Nie obawiaj się, dodał Kuźma, a zresztą cóż masz do stracenia?

Presler, któremu ta myśl utkwiła w głowie szepnął później na ucho:

— Zlituj się! jeżeli możesz, ratuj ty mnie!

— Siedź tu i nie ruszaj z miejsca, rzekł stolarz, ja zaraz powrócę.

Jakoż wybiegł natychmiast, a Preslerowi ten czas oczekiwania wydał się niezmiernie długim.

Nakoniec Kuźma powrócił, ale jakoś smutny i twarzą nie wiele dający nadziei.

— A cóż? spytał Presler.

— Chodź waćpan ze mną... zobaczymy...

Nic nie mówiąc poszli oba, Kuźma wiódł go małemi uliczkami w głąb Starego miasta, potem grubą chustką oczy mu zawiązał i znowu prowadził jakby naumyślnie kręcąc w prawo i w lewo, aby porucznik nie domyślił się, dokąd idzie. Noc była ciemna, Presler o czem innem myślał, a nadzwyczajne te ostrożności wcale go nie zdziwiły. Po długich zwrotach w ulicach poczuł Presler, że weszli do jakiegoś gmachu, że otwierano kilkoro drzwi, potem zstępować było trzeba w dół po wschodach, a gdy mu oczy odsłonięto, ujrzał się w jakimś lochu bez okien ze ścianami nagiemi w głębi mającym wielkie drzwi żelazne. — W pośrodku był prosty stolik zarzucony papierami, przy nim siedziało trzech młodych ludzi.

Wszystkich oczy utkwione były w Preslera, który stał drżący jak winowajca przed sądem. Jeden z przytomnych rzucił pióro i przystąpił do niego.

— Nie potrzebujesz nam nic mówić, rzekł pokręcając wąsa — wiemy wszystko, życie twe było niegodziwe, lepiej było umrzeć z głodu, niż żywić się zdradą. —

Nie dokończył tych słów, gdy żelazne drzwi w głębi lochu otwarły się powoli i wszedł ksiądz w habicie jednego z zakonów św. Franciszka.

Postać to była łagodna, choć energiczna, twarz ożywiona czarnemi oczyma, usta, pełnym miłosierdzia uśmiechem, popatrzał na Preslera, coś poszeptał z młodymi ludźmi i zbliżył się do niego, z politowaniem widocznem.

— Widzisz, widzisz, moje dziecko, rzekł kładąc mu rękę na ramieniu, do czego cię to zapomnienie o Bogu i świętych prawach jego przywiodło! Do zguby własnego dziecka, a kto wie czy nie dwojga twoich dzieci!

— Mój ojcze, odpowiedział Presler płacząc, litujcie się, ratujcie, ale nie dobijajcież mnie przypominając winę moją.

— Żałujesz za grzech, ukarany jesteś, Bóg zapewne przebaczył, i ludzie cię tknąć już nie powinni. — Sędzia sprawiedliwy wziął sam na siebie wyrok i jego wykonanie, pokój z tobą człowiecze.

— Bóg widzi, zawołał Presler, chciałbym złe naprawić, pytajcie mnie, powiem wam co tylko wiem, będę wam służył do zdechu! choćby i mnie powiesić mieli.

— Moje dziecko, rzekł ksiądz, bardzo to pięknie mówisz, ale obrachuj się z sumieniem, czy tego przez samą zemstę nie czynisz? Zemsta nie chrześcijańskiem jest uczuciem; my nie mścić się na Moskalach, ale bronić się od nich powinniśmy. Prześladują świętą wiarę naszą, chcieliby nas spodlić i zepsuć, aby tem łatwiej ujarzmić; broniąc tego nieszczęśliwego kraju, bronim zarazem praw Boskich które oni depczą nogami..

Mówił, a Presler płakał, nakoniec po tej nauce moralnej zaczęto go wypytywać o rozmaite szczegóły o których dokładniejsza wiadomość mogła być przydatną.

Presler dostarczył jeżeli nie nadzwyczajnych objaśnień to wiele imion ludzi, którzy do tajnej policyi należeli; wiele skazówek z których korzystać było można.

Rozmowa przeciągnęła się długo w noc, ale dla biednego Juliana żadnej mu nadziei dać nie było można. — Wyrwać go z ich szpon nikt nie mógł; ucieczka z cytadeli była prawie całkowicie niemożliwą, w podróży niezmiernie trudną. Upewniono tylko Preslera że synowi jego o ile możności starać się będą ciężki los osłodzić, że potrzeby jego zostaną zaspokojone, że będzie miał opiekę, a później, kto wie? może jakimkolwiek sposobem obmyślaną ucieczkę.

Nie starczyło to Preslerowi który chciał syna widzieć koniecznie wolnym, ale ksiądz dodał w końcu:

— Pamiętaj, że to dziecię twoje Bóg wyznaczył może aby za grzechy ojcowskie odpokutowało, jest młody, wielu od niego starszych, słabszych, zasłużeńszych. Bóg zadaje ci raną ciężką, ale z jego ręki przyjąć ją potrzeba, bo też i winy wielkie były. —

Pocieszano go jak kto umiał, ale czemże są słowa wobec takiej boleści, którą tylko czyn skruszyć może, a czas osłabić?

Presler wyszedł z innym tylko smutkiem, ze zmienionem cierpieniem, przybity brzemieniem, na które mu sił nie stawało.

Po długich znowu przechodach w różnych kierunkach znalazł się, gdy mu oczy rozwiązano, przede drzwiami swego mieszkania.

Wszedł smutny na wschody i do izby, w której zastał tylko Kachnę siedzącą na ziemi i łzami zalaną. Rzuciła się ona ku niemu z opowiadaniem, że przed kilku godzinami, policya wpadła do domu, że przetrząśniono wszystko, że w łóżku Rózi znaleziono jakieś papiery i ją zabrano do więzienia.

Dodamy tu, że w tydzień potem umarł nagle adjutant namiestnika kniaź Szkurin. Przyczyna jego śmierci była tajemniczą, niezbadaną, mówiono o apopleksyi. O losie Rózi ani ojciec ani Kaźmierz nigdy się dowiedzieć nie mogli. W więzieniach nigdzie jej imienia na spisach nie było — znikła bez wieści. —

* * *

Na największą boleść, współczucie ludzkie jest balsamem Samarytanina, jeśli on ran nie leczy, przynajmniej koi cierpienie, a czas, ów mistrz lekarzy, powoli zaciera blizny.

Biedna matka Juliana podniesiona ręką litościwą kobiety, której syn także oddychał więziennem powietrzem,

znalazła u niej dach, litość i troskliwą opiekę nad sobą. Zapadła wprawdzie na zdrowiu, ale choroba ciała nie dała się wzmódz boleści duszy. Gdy po kilku dniach przesilenia podniosła się z łoża i przytomniejsza nieco zaczęła wypytywać o swoich, musiano jej, wydzielając po trosze, całą nareszcie wypowiedzieć prawdę.

Dowiedziała się biedna, że Julian osądzony był do rot aresztanckich na Syberyą, że o mężu losie nikt nie wiedział, a córka znikła bez śladu, porwana przez policyjnych posługaczów. Ciężkie to były ciosy, Preslerowa opłakawszy swe sieroctwo, dolę nieszczęśliwą córki, a nawet męża, choć na niego wina wszystkich tych wypadków spadała, przywiązała się tem mocniej do syna i postanowiła towarzyszyć mu na wygnanie.

Ta myśl, że z nim będzie, że mu ulży słowem i współczuciem doli bolesnej, że dźwignie jego kajdany — przywróciła jej trochę zdrowia. Wiedziała już że za dni kilka Julian być ma wyprowadzony z innymi więźniami, potrzeba się więc było dźwignąć, trzeba było odzyskać siły, aby rozpocząć ten pochód żałobny, pędzonej nahajkami kozaków i szyderstwami rozpasanej tłuszczy.

W całem postępowaniu Moskwy z winnymi i niewinnymi, nie ma najmniejszego śladu, że przed dziewięcią wiekami naród ten chrztem był obmyty. Znamieniem jego zawsze jest jeszcze dzikość pogańska, jakiej już nigdzie nie znajdziesz na świecie. Nawet te ludy, które jeszcze krzyża nie położyły na piersi, samem zetknięciem się z chrześciaństwem złagodniały, — jedna Moskwa, choć niby chrześciańska i choć na pozór pobożna, zachowała w całości stary obyczaj tatarski i zwierzęcą nielitościwość.

Począwszy od sądu aż do kary, wszystko w niej przejęte jest barbarzyństwem, rzekłbyś, że inaczej nasycić nie mogąc swego pragnienia krwi i mordu, rzuca się chciwie na wszelką pastwę podaną. Żadnej niech się nie spodziewa litości, kto się w szpony tych sędziów i oprawców dostanie; więzienie, badania, wykonywanie wyroku, wszystko jest pastwieniem się i okrucieństwem, obrachowanem na to, aby ofiara cierpiała jak najwięcej, aby kat się jej męczarnią nasycał.

Ani płeć, ani wiek, ani słabość, ani cierpienie obronić nie mogą; siła tylko wzbudza w nich poszanowanie, słabość nielitościwe szyderstwo. Gdyby Chrystusa krzyżować mieli powtórnie, znaleźliby środek do jego pasyi dodać jeszcze jakie nowe męczeństwo...

Cywilizowany jenerał audytoryatu i prosty soldat, obchodzą się z więźniem jednakowo, sercem dzikiem są to bracia rodzeni. Wszystko co w opisach tych krwawych i smutnych dziejów wydaje się przesadzonem i nieprawdopodobnem tym co Rosyą powierzchownie tylko znają — jest jeszcze bladem i niedostatecznem w obec rzeczywistości, na którą nie ma wyrazów w języku ludzkim, bo nie ma pojęć w umyśle ludzi... Ryk zwierząt mógłby chyba wyrazić to zwierzęce okrucieństwo....

Rano przed świtem, bo Moskwa zwykła szukać ciemności i taić się ze swą sprawiedliwością — wywleczonych nagle z cytadeli winowajców przywieziono na punkt zborny na Pragę.

Dzień się wybrał pochmurny, słotny, szary i mimo lata zimny a wietrzny. Na piasku przemokłym od długiej słoty, stało kilkudziesięciu ludzi, po większej części młodzieży, w grubych szynelach sołdackich, z postrzyżonemi głowami, przykutych do żelaznego drążka, i obstawionych silną do koła strażą.

Wyprawa ta, składała się z ludzi wszelkiego stanu i wieku, a Moskwa postarała się o to, aby między politycznymi skazanymi znajdował się prosty złodziej, umyślnie chcąc zbrodnię miłości ojczyzny z najpodlejszem przestępstwem porównać. Odbijała ta postać złowroga zbójcy i łupieżcy z wpadłemi w czaszkę oczyma zbika, od szlachetnych obliczów męczeńskich...

Obok zbója szedł przykuty ksiądz staruszek, który przyjmował przysięgę czeladzi rzemieślniczej, spokojny, łagodny, na przyszłe swe cierpienia patrzący pogodnem okiem kapłana co od dawna życie swe Bogu oddał w jego ręce i sam niem już nie rozporządzał. Ujęty do więzienia, nim go badać zaczęto, starzec zażądał krucyfiksu, a dostawszy go poprzysiągł w obec przelękłego służalstwa, że mu żadna męczarnia z ust słowa nie dobędzie... Skazano go za to zuchwalstwo, że się śmiał uciec pod skrzydło Boże, chroniąc od sprawiedliwości cara... Kapłan uśmiechał się, czuł że był na swem miejscu, bo niósł z sobą słowo rezygnacyi, pociechy i nadziei.

Za nim szedł młody chłopak, blady i zmęczony długą niewolą, uśmiechnięty boleśnie — patrzał on na Warszawę i łza kręciła mu się pod zczerniałą od płaczu powieką... tam! tam, zostawiał starą matkę, kalekę ojca, i ją... tę którą ukochał, a której niewolno było nawet przyjść go białą chustką z daleka pożegnać. Wczoraj uścisnął raz ostatni rodziców, a jej... bojąc się wymienić imienia nawet — *bądź zdrowa,* cichego przesłać nie śmiał. I patrzał, patrzał ku niej w tę stronę gdzie ona może płakała ukryta, i pytał co mu los przeznacza... kiedyż czy nigdy? — *Na zawsze!* jak żelazny sztylet rozdzierało mu piersi... *na zawsze! na zawsze,* straszny wyraz, który mieści w sobie treść całą ludzkiego żywota.

Po nim podstarzały już mężczyzna, ojciec rodziny, wlókł się z kaszlem w piersi oznajmującym że nie dojdzie daleko, ale z milczącą rezygnacyą; za rzędem żołnierzy stała zapłakana jego żona, dwoje dziatek wyciągając do niego rączki drobne, niemowlę podnosiła do góry, aby i ono pożegnało ojca. — On patrzał na nich i myślał ile to mogił otworzy się, aby tyle rozpaczy pochłonąć... nie miał już żadnej nadziei prócz śmierci... niedostatek, sieroctwo, nędza, upokorzenie, a potem grób i cisza... Nie miał ich siły żegnać, ale patrzał, patrzał, aby ten obraz wybił się i wypiętnował w sercu, i powtórzył z ostatniem uderzeniem jeszcze...

Za nim maleńkie chłopię co jeszcze szkoły nie ukończyło nie zaczęło życia, już rozpoczynało nową szkołę nieszczęścia i pierwszy żywot boleści... Student podnosił czoło dumnie, z pociechą że obok starych, tak młodo już za Ojczyznę mógł cierpieć, usta się jego uśmiechały, oko płakało, świstał jakąś piosenkę, a łza nieuznana jak kropla deszczu wysychała mu na gorejącym policzku... Rodzice byli daleko! o losie jego nie wiedzieli może... ale był szczęśliwy że oni posłyszą jak godnie nosił ich imię...

Po nim stał mężczyzna stary, tajemniczego oblicza, wychudły, z białemi pieszczonemi rękoma, z cerą delikatną, z usty zaciśniętemi, widocznie drugi raz już,może trzeci puszczający się w tę drogę daleką... Na czole jego pomarszczonem wisiała troska żałobna, ale powieki zapomniały łez, tych gości młodości... nie mógł już i nie umiał płakać — był stwardniały i nieczuły, żołnierz go bił usiłując ustawić do porządku, on nie czuł... W tłumie nikogo nie było coby go przyszedł pożegnać... wzięty był pod cudzem nazwiskiem i nikt o jego prawdziwem nie wiedział...

Po za szeregiem żołnierzy widać było twarze tłumu rodziny, przyjaciół,żon i matek, które przyszły tu szukać synów i braci, ukraść pożegnanie wzbronione, bo moskiewska sprawiedliwość i z rodziną się rozstać nie dopuszcza... potrzeba czatować, zgadywać, pochwycić ostatnie skazanych wejrzenie, trzeba święty, pocałunek ostatni okupywać u żołdaków bez litości, którzy rozpędzali zgromadzonych, wyśmiewając się tylko z tego co świat ma najbardziej poszanowania godnem — z boleści. —

Każdy z tych przybyłych, oprócz łez przyniósł coś dla skazanych na długą i niewygodną podróż, coś coby im osłodzić ją mogło — nie wiedząc, że dostarcza łupu dla strażników... Często o kilka set kroków po za miastem już te podarki i ofiary rozdzielają między siebie żołnierze, lub wiodący partyę oficer zabiera niby dla schowania, — ale się o nie upomnieć potem nie godzi.

Na bladych twarzach więźniów znać było wszystko co przetrzymali, głód, lichą strawę używaną za środek do osłabienia w nich ducha, bezsenność, trwogę, rózgi, i wymyślone katusze, naostatek samotność przerywaną łajaniem i groźbami... oczy zgasłe, skóra zwiędła, spieczone usta mówiły więcej niżby powiedziały słowa.

Jakkolwiek ciężki ich los czekał, jakkolwiek skute mieli ręce, nad sobą nahaj kozacki, a obok kolbę karabina — samo oddychanie świeżem powietrzem, widok nieba i szerszych przestrzeni, ruch nieco swobodniejszy, zbliżenie do ludzi jednego losu i przekonań ,już tę podróż kalwaryjską czyniły prawie osłodą.

Ale któż opuszcza swój kraj i przyjmuje to sieroctwo na barki bez uczucia strasznego pustkowia, w które wchodzi?

Nawet stary braciszek zakonnik, co się już był zaparł świata, poglądał czy nie zobaczy tych murów klasztornych, w których niegdyś tak błogo i cicho spływały mu

lata — cóż dopiero inni, co za sobą pozostawili rodziny, węzłów tysiące i tyle nici serdecznych zerwanych tak gwałtownie?

Od tej sztaby żelaznej oczy biednych skazanych odwracały się szukając w tłumie znajomych twarzy, a gdy ich nie znalazły, poiły się goryczą przypuszczeń, przeczuć, obawy... Nie jeden pomyślał, że o nim już zapomniano, drugiemu śmierć i choroba snuły się po głowie. Ci co ujrzeli znajome twarze szarpali swój łańcuch, aby się raz jeszcze ku nim przybliżyć, choć posłyszeć głos ukochany, aby jego dźwięk został w uszach i sercu, i brzmiał w tej długiej ciszy grobowej, przypomnieniem dni jaśniejszych.

Z za szeregów głośne płacze i rzucane pospiesznie słowa leciały ku uszom więźniów spragnionych... dowiadywali się z nich o wielu wypadkach, których cisza cytadeli odgłosu do nich nie dopuściła...

— A brat?

— Uwięziony...

— A mąż twój?

— Zesłany...

— A ojciec wasz...

— Zabity...

— A ona?

— Siedzi zamknięta...

— A przyjaciel nasz...

— Umarł i pochować go nie było wolno we dnie, poprowadziliśmy go nocą na Powązki...

Przy księdzu i starcu stał Julian, blady, wymęczony, zmieniony nie do poznania, ale z wyrazem męztwa na twarzy, którem wszystko zwyciężył. Widać było że wśród cierpień nie ugiął się i nie poddał, że szedł odważnie naprzeciw swojego losu, czując się apostołem świętej prawdy, wiedząc, że gdyby usta jego słowa za nią wyrzec nie mogły, samym sobą świadczyć będzie o prawdzie tej, za której wyznawanie był skazany.

Nie spodziewał się on nikogo tu znaleść i z nikim pożegnać — ale matka jego od trzech dni stała tu codzień na czatach, pilnując syna, czekając na niego.

Postrzegł ją Julian i uśmiechnął się, ażeby jej dodać męstwa, sądził, że przyszła tylko ze słowem błogosławieństwa na drogę, i zdziwił zobaczywszy węzełek na jej plecach, a kij w rękach. Na twarzy zwiędłej, mimo przebytej choroby, malowało się chłodne postanowienie, które w sobie czerpie siły do wykonania zadań nawet najcięższych.

Ta myśl, iż matka towarzyszyć mu miała, więcej sprawiła niepokoju niż pociechy, wolałby był sam cierpieć, niż być przyczyną ciężkich boleści dla niej, dla matki... Ale ona spostrzegłszy go także, uradowana skinęła na niego tylko i stała spokojna nie usiłując się nawet przybliżyć, gdy inni szlochali rękami przedzierając się przez żołnierzy, aby raz jeszcze dłoń ukochaną uścisnąć — ona czekała opodal, cierpliwa, rachując na długą podróż, która ją z synem połączyć miała.

W pospiesznych pożegnaniach rozdzierających serca, upłynęła błyskawicą chwila ostatnia i wkrótce dał się słyszeć rozkaz do wymarszu, rzucony tym suchym głosem sołdackim, który jednakowo wymawia wyrok potępienia i oswobodzenia... Żołnierze ruszyli się, brzęk broni, płacze i krzyki rozległy, łańcuchy zabrzęczały i sznur skutych wygnańców ruszył w daleki świat obcy, nie jeden do otwartej mogiły na stepie, zimnym posypanej śniegiem.

Oficer zapalił cygaro, a sołdactwo naciskających się rozpędzało swem — *paszli won!* odpychając kolbami... Ksiądz zanucił:

„Pod Twoją obronę...“

ale kozak przypadłszy, sądząc, że to śpiew jakiś zakazany, uderzył go po siwej głowie nahajką i pieśń cichym się skończyła pacierzem, tylko sina pręga na licu kapłana poświadczyła, że o Bogu w chwili rozstania z ojczyzną pomyślał.

Odwoływanie się do Boga, i skarga na cara — jest to zbrodnia niedarowana... Bóg wedle Moskalów jest tylko posłusznym wykonawcą woli monarszej, inaczej poszedłby dawno w sołdaty.

Za szeregiem żołnierzy, podpierając się na kiju, powlokła się jedna kobieta...

Była to matka Juliana.

* * *

Nie na tem jednak koniec tego czarnego dramatu, nad którym świeci promyk macierzyńskiej miłości.

W chwili gdy się to działo na Pradze, zdala, nie śmiejąc się zbliżyć, oparty o ścianę, stał człowiek stary, w sukniach oszarpanych, z żółtą i pomarszczoną twarzą, na której nędza wypiekła swe straszliwe znamię. Przechodzący mijali go z politowaniem, czytając z lica widoczne obłąkanie...

Dopóki więźniowie stali, wzrok jego ostrożnie zdawał się między nimi szukać kogoś, ale ile razy padł na Juliana, ukrywał się przerażony...

Znajomym, nawet żonie i synowi trudno było poznać w nim Preslera, na tak strasznego żebraka, włóczęgę zmieniły go te dni pokuty. Twarz była ruiną, którą poorały łzy i krzywiło jakieś konwulsyjne drganie przybierające zarazem to płaczu wyraz, to dzikiego uśmiechu. Musiał się oprzeć o ścianę, bo na nogach ustać nie mógł, a ręce opadały mu bezwładnie. — Z ust zaciętych widać było sączącą pianę, jakby w ostatnich wysiłkach konania.

Stał jak nieruchomy dopóki pochód nie wyszedł, aż gdy brzęk kajdan oznajmił, a więźniowie rozpoczęli tę podróż, z której żaden nie miał może powrócić, stary obłąkanym wzrokiem rzucił na tę kupkę potępieńców, i jakby na przekór płaczom i jękom, które w tej chwili słyszeć się dały, począł się śmiać dziko. Śmiech ten był tak przerażający, że kupka ciekawych dzieci, które się z za węgła domu przypatrywały tej scenie, pierzchła wylękniona... Obłąkany obejrzał się, rozśmiał jeszcze i zadarłszy głowę do góry, podparłszy się w boki, poszedł poważnym, ale chwiejnym krokiem do najbliższego szynku naprzeciw.

Że to był dzień targowy, a ludzie przybywali z okolicy na Pragę i każdy z nich w słotny ranek chciał się pokrzepić, gdy Presler wszedł znalazł szynkarkę zajętą. Oburzyło go to mocno, że mu zaraz nie usłużono.

— Hej! słuchaj, zawołał, ty jakaś, nie widzisz kto przyszedł? dawaj mi tu wódkę, a żywo.

I rozsiadł się za stołem.

Żydówka nie spieszyła go słuchać, bo widząc odartą odzież niepewną była zapłaty.

—A! ty córko Judasza, plemie Herodowe, zawołał powtórnie Presler z gniewem wzrastającym coraz, wódki mówię co prędzej, garniec wódki! a nie, to ci łeb rozkwaczę...

Oburzyli się na ten krzyk i łajanie przytomni, chciano wezwć policyanta, aby warjata uprzątnął, gdy Presler przeszukał w kieszeniach i dobył papierek trzyróblowy którego widok ułagodził szynkarkę, a innych powstrzymał od stawania w ich obronie.

Z chciwością niewypowiedzianą porwał stary za flachę, i począł z niej pić, jakby żłopał wodę spragniony. Strasznie było patrzeć na to samobójstwo, oczy wszystkich zwróciły się na nieszczęśliwego człowieka, który dopiwszy do dna flaszkę, gruchnął szkłem o ziemię a sam bełkocząc jakieś przekleństwa, powalił się na ławę.

Chwilę jednak trwała nieprzytomność, powstał natychmiast i z uśmiechem skierował się ku drzwiom; wszyscy się rozstąpili przed nim, on szedł z głową spuszczoną, szepcąc sam do siebie.

— No, teraz dobrze! lada dzień zrobią mnie pułkownikiem, a gdy im wydam nieboszczyka ojca, zostanę jenerałem. Co mi to szkodzi? kto mówi że jestem zdrajca? hę? każę go zaraz rozstrzelać! Nikt inaczej nie dorabia się pieniędzy i rangi. Sprzedałem syna, przepiłem córkę, żonę djabli wzięli, i...

Jestem sobie pan, i o nic nie dbam!

Ostatnie słowa wyśpiewał głosem ochrypłym, wziął się w boki, zakręcił na jednej nodze, począł niby tańcować, ale się słaniał i padał.

— Co mi tam! wołał, wszystko głupstwo, a wódka grunt! a co ludzie pokomponowali tę niby cnotę, te różne delikatne bałamuctwa, żeby głupców trzymać na sznurku... niewarto szklanki wody! — Tfu! furda!

Po chwili zaś, dodał:

— Gdzie ekwipaż pana jenerała Preslera? gdzie jego ludzie? hę? Każę woźnicy dać sto łóz jak go odszukam, albo go wyślę na Sybir! znaj trutniu jakiś Preslera.... Sybir...

Powtórzywszy ten wyraz, obejrzał się i wstrząsnął.

— Kto tu śmie gadać o Sybirze? Kto mi tu wspomniał Sybir? W Syberyi złoto kopią i w sobolach chodzą, cieplej jest tam jak w tych głupich Włoszech... Niepraw-

da! kłamstwo co gadali o Sybirze przez nienawiść dla N. Pana i poczciwych Moskali...

Mówiąc to coraz ciszej, głosem przerywanym czkawką, stanął u brzegu Wisły, i począł się w płynącą wodę wpatrywać, czoło mu się zachmurzyło, a choć usta krzywiły się śmiechem, oczy płakały. Siadł czując się znużonym na szychcie drzewa.

— Co teraz robić? mruczał do siebie... mógłbym to ja żyć i porządnie żyć, ha! ale może nie warto, jakoś mi się nawet nie chce! Żony nie ma, mógłbym się jeszcze ożenić z jaką moskiewicą tłustą i bogatą, ale nuż drugi taki djabeł będzie jak pierwsza? Nie, to głupi interes... żyło się, żyło, szarpało... a całe życie... tfu! psu na buty!

Popatrzał znowu na wodę.

Pali mnie pragnienie, wypiłbym Wisłę, rzekł, ale te łotry zaraz mi proces wytoczą, patryoci, że im ich rzekę skonfiskowałem w żołądku... nie można... gotowi powiesić za to...

Uśmiechnął się znowu.

— Hę, Adasiu kochanie, rzekł, imię swe przypominając sobie — gdybyśmy my się utopili?

W tej chwili fenomenem właściwym wielu obłąkanym, Presler poczuł, jakby się rozdwoił, Adaś oddzielił się od niego i czynił mu wyrzuty. Presler się gniewał i bronił. Obaj przeciwnicy zamknięci w jednej powłoce rozpoczęli bój zażarty. — porucznik mówił za jednego i drugiego, kłócił się z sobą i łajał.

Nareszcie zmąciło się w głowie, Adaś ośmielał mu się zarzucać że zdradził Juliana, i jak Bóg w Biblii pytał go:

— Coś uczynił z synem twoim? gdzie syn twój?

Presler ruszał ramionami, odpowiadając że nie wie, ale powtarzające się pytanie zburzyło go wreszcie i porwał się sam na siebie, szarpiąc odzież, drapiąc i raniąc sobie piersi...

Szamocąc się tak w największej złości, postanowił rzucić do Wisły uprzykrzonego Adama, i padł w nią z nim razem...

Woda w tem miejscu była głęboka, wir go pochwycił, pochłonęły fale; dziki tylko śmiech szyderski, ostatnie tętno życia, rozległ się długo po nad brzegiem.

KONIEC.

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

15) (Ciąg dalszy.)

Helenka zwróciła się od razu na ścieżkę, na której Lucyan po raz pierwszy widział się z niemi, była bowiem przekonaną, że i on tam pospieszy. I nie omyliła się — zaledwie bowiem uszły kilka kroków, gdy z drugiej strony zbliżył się Lucyan!

Helenka była tak szczerze zdziwioną, jak gdyby go wcale nie była poprzednio widziała, Nora zaś zbladła jak śmierć i błagalnie podniosła ręce.

— Przebacz Noro, — zawołał Lucyan, — chciałem cię raz tylo jeszcze zobaczyć!

Nora milczała.

—Chciałem się spytać, — mówił Lucyan dalej, — dla czego wróciłaś do klasztoru! Czy zerwałaś zaręczyny twoje z hrabią Noirville? Czy jest dla nas jaka nadzieja?

— Nora chce ostatnie dni przepędzić na modlitwie, — odrzekła teraz Helenka, wzruszona głęboko rozpaczą tych dwojga najmilszych jej osób.

— Więc jednak wszystko dla mnie stracone, — szepnął Lucyan. — Bądź zdrową Noro ukochana, — dodał, biorąc jej ręce, — już się pewnie w tem życiu nigdy nie zobaczymy. Nie zapominaj o mnie.

— Bądź zdrów Lucyanie!

— Nie pojmuję was, — zawołała Helenka. — Kochacie się oboje, a więc — uciekajcie razem do Ameryki. Tam możecie wziąść ślub!

— Milcz, — szepnęła Nora, — o tem przecież mowy być nie może! Ja muszę wykonać rozkaz ojca. Później może.... Odejdź teraz Lucyanie, proszę cię o to!

— Odchodzę już..... za tydzień wyjeżdżam na zawsze....

— Dokąd?

— Do Amerykі, ale..... sam!

W tejże chwili ukazało się na ścieżce kilka pensyonarek, Lucyan zniknął, Nora zaś, której wzruszenie i rozpacz resztę sił odebrało, upadła zemdlona w objęcia swej towarzyszki.

— Ratunku! — krzyknęła Helenka, — Nora zemdlała!

Jedna z pensyonarek pobiegła po wodę, druga pospieszyła po siostrę Klotyldę, zwaną w klasztorze „doktorem“ i po upływie kilku minut przywołano Norę do przytomności.

— Jakże się czujesz kochanie? — zapytała siostra Klotylda.

— Dobrze, zupełnie dobrze!

— Był to tylko silny zawrót głowy, więcej nic!

— Tak, i teraz już wszystko minęło.

— Odpocznij sobie tu na tej ławce, — radziła siostra Klotylda, — Helenka dotrzyma ci towarzystwa, a za pół godziny wrócimy do domu!

Nora i Helenka usiadły na ławce i wkrótce zostały same.

Robert słyszał całą rozmowę Lucyana i Nory i przeczuł natychmiast, że będzie mógł jej użyć do swoich planów. Potem wrócił zadowolony do swego mieszkania, zabrał rzeczy, książeczkę służbową i pieniądze Henryka, i schował wszystko starannie w szafce. Książeczkę postanowił w danym razie wydać za swoją własną, a pieniędzy nigdy nie mógł mieć za wiele.

Wieczorem pojechał do Paryża.

ROZDZIAŁ 25.

W domu zastał matkę samą.

— Co się z tobą dzieje? — zawołała pani Martin, uradowana widokiem syna. — Od dwóch dni nic o tobie nie słyszałam!

— Tak jest, ale nie mogłem prędzej przyjechać! Musiałem obserwować wszystko.....“

— I czego się dowiedziałeś?

— Chwilowo wiem tylko tyle, że plany moje powiodą się!

Oczy pani Martin błysnęły chciwością.

— Więc dostaniemy miliony! — szepnęła.

— O tak, za trzy lub cztery tygodnie!

— Nie może być. Ale jakim sposobem? Nie skompromitujesz nas? Nie zgubisz siebie? — pytała pani Martin z gorączkową niecierpliwością.

— Nic złego nam się nie stanie, — odrzekł Robert szorstko, odsuwając matkę. — Teraz nie mam czasu na opowiadanie wszystkiego, muszę się najpierw widzieć z Alfonsem. Przyjdzie on tu dziś?

— Nie wiem — poszedł z Lolą do teatru ,i chciał mnie też zabrać, ale nie miałam ochoty. Ja myślę, że on resztę nocy przepędzi w jakiej kawiarni, na grze w karty, — dodała z westchnieniem.

— Niech go licho bierze! Powinien był czekać na mnie, wie przecież, że może mi każdej chwili być potrzebnym! Do jakiego teatru poszli?

— Do Chatelet!

— Więc pójdę tam także! Muszę się widzieć z nim i z Lolą. Zanieś matko to zawiniątko do mej sypialni i do widzenia!

— Wrócisz na noc do domu?

— Nie wiem, w każdym razie nie czekaj na mnie!

Robert wyszedł, pani Martin zaś zaniosła na górę wręczoną jej paczkę, nie troszcząc się o to, co się w niej znajdowało.

Robert tymczasem udał się czemprędzej do teatru, kupił bilet na łożę drugiego piętra, lecz nigdzie nie mógł znaleść brata i jego narzeczonej. Daremnie przeszukał całe drugie, trzecie i czwarte piętro, i już zniecierpliwiony, postanowił wrócić do domu, gdy nagle ujrzał w loży parkietowej Alfonsa i Lolę. Alfons, ubrany podług najpierwszej mody siedział rozpromieniony obok cudownie pięknej Loli, w której nikt nie byłby pozna owej biednej robotnicy, skazanej na trzy miesiące więzienia. Wyglądała ona jak wytworna dama wielkiego świata, to też mężczyźni i kobiety patrzeli na nią z niekłamanym zachwytem. Piękność jej czarowała poprostu wszystkich!

Robert poszedł do ich loży, kazał sobie otworzyć drzwi i posunął sobie śmiało krzesło naprzód. Alfons i Lola z przerażeniem spojrzeli na niego.

— Co się stało? — szepnął Alfons.

— Nic, ale musicie wyjść, bo chcę się z wami rozmówić!

— Przed końcem aktu? — spytała Lola.

— Tak, natychmiast. Poczekajcie tylko tak długo, aż zamówię dorożkę.

Kilka minut później jechali we troje do pani Martin, a Lola drżała z ciekawości na to, co Robert miał im do powiedzenia.

Czyżby Nora..... już..... nie żyła? Czy miliony staną się jej własnością?

Z tem wszystkiem nie śmiała go o nic pytać — energia, stanowczość i zbrodnicze skłonności tego chłopaka imponowały jej tak, że mimowoli poddawała się jego władzy i była gotową wypełniać wszystkie jego rozkazy.

Gdy zajechali przed dom, było już późno i pani Martin zamierzała właśnie udać się na spoczynek. Usłyszawszy turkot dorożki, otworzyła okno i wyjrzała na ulicę.

— Czy to wy? — spytała.

— Tak, — odrzekł Robert. — Zrzuć nam klucz, nie potrzebujesz schodzić na dół.

Pani Martin jednak zeszła sama i przyjęła gości z wielką serdecznością.

— I cóż mi powiecie? — spytała, gdy wszyscy zasiedli przy stole, zastawionym zimną kolacyą. — Może chcecie zjeść najpierw kawałek chleba.....

— Potem, — odrzekł Robert. — A teraz słuchajcie: jeżeli wszystko uda się dobrze, to jutro mamy miliony!

— Jakim sposobem? — krzyknął Alfons.

— Ty piszesz bardzo ładnie, — mówił Robert dalej, — umiałbyś naśladować cudze pismo?

— Naturalnie! Ale musiałbym się najpierw przekonać, czy pismo to jest trudnem do naśladowania..... masz tu jaką próbkę?

— Mam, — odparł Robert i podał bratu list Lucyana.

— Kto to pisał? — zapytał Alfons.

— Wielbiciel panny Garrel!

— Zkąd masz ten list? — zawołała Lola zdumiona. — Zkąd wiesz, że to jej wielbiciel?

— Strząsnąłem go sobie z drzewa, — rozśmiał się Robert, — a zkąd wiem, że panna Garrel kocha innego — otóż dowiedziałem się o tem z rozmowy notaryusza Niwela z hrabią Noirville i z rozmowy młodego lekarza, pana Lucyana z panną Garrel!

I opowiedział im wszystko dokładnie.

— Złoty chłopiec! Skarb prawdziwy! — zawołała pani Martin, patrząc z uwielbieniem na syna.

— Mało jest pewnie dojrzałych mężczyzn, — dodała Lola. — którzyby posiadali tyle co on odwagi, zręczności i rozumu!

Pochwała Loli wywołała gorący rumieniec radości na bladą twarz młodego zbrodniarza.

— Ech, co tam, rzekł, spuszczając skromnie oczy, — ja nie lubię, gdy mnie kto chwali. Teraz chodzi głównie o to, czy Alfons potrafi naśladować to pismo!

— Potrafię!

— Pisz więc, ja ci podyktuję!

Alfons poszukał arkusza i atramentu i zaczął pisać co następuje:

„Droga Noro! Opuszczam Francyę i zdala od ciebie czekać będę, co mi przyszłość przyniesie. Wyjeżdżam jutro. Całe moje szczęście pozostawiam tutaj. Ale nie mogę odjechać, nie zobaczywszy raz jeszcze ciebie! Dziś około dziesiątej oczekuję cię w lasku przy willi Schoken. Wyjdź z klasztoru przez zielone drzwi w murze, przejdź uliczkę i zwróć się na ścieżkę około grobli kolei żelaznej. Nieco dalej, wzdłuż rzeki, znajdziesz most z desek — na drugiej stronie Marny będę czekał na ciebie, a jeżeli nie przyjdziesz, to jutro znajdą rybacy trupa mego w wodzie!

— Ależ to głupstwo! zawołał Alfons, rzucając pióro.

— Pisz dalej, — rozkazał Robert.

— Czy myślisz, że ona w nocy pójdzie do lasu?

— Owszem, jestem nawet pewny, że przyjaciółka towarzyszyć jej będzie. Nie jest ona tam wprawdzie potrzebną, ale..... no, zobaczymy! Panna Garrel jest tak zakochaną w tym doktorze, że nie zawaha się ani na chwilę z wypełnieniem jego życzenia!

— Jak ona będzie mogła wyjść z ogrodu?

— Ma klucz od drzwi! Mój klucz!

I w kilku słowach opowiedział całe zdarzenie z szukaniem listu.

— Bardzo dobrze, — rzekł Alfons. — Panna Garrel przyjdzie do lasku, ale nie wiem jeszcze, jakim sposobem miliony jej dostaną się w nasze ręce?

— Jutro dowiesz się o tem!

— Tylko bez krwi rozlewu, — upominała pani Martin drżącym głosem.

— Nie bój się mamo, ani kropla jej krwi błękitnej nie splami mojej ręki!

— Ale jeżeli ten list wpadnie w ręce policyi..... jeżeli zaczną badać tego lekarza.....

— On rzeczywiście wyjeżdża do Ameryki, zresztą nie ma się czego lękać, list ten zostanie natychmiast zniszczonym!

— Robert ma słuszność, rób, co on ci każe, — odezwała się Lola. — Nienawidzę tej, która mi wydarła tytuł i majątek! Ja chcę jej milionów i muszę je mieć!

— A ja pragnę pomsty na hrabiu Noirville, dodał Alfons ponuro. — Dyktuj dalej!

— Robert dodał jeszcze kilka słów tylko i list wkrótce był skończony.

— Kiedy go przepiszesz? — zapytał.

— Jutro rano. O dziewiątej możesz go oddać na pocztę.

— Nie, przynieś mi go lepiej do Saint Maur. Będę na dworcu czekał na ciebie, może i Lola przyjedzie!

— Czy ona także potrzebna?

— Owszem!

— Przyjedziemy z pewnością, — przyrzekła Lola.

— Ale ubierzcie się jak najskromniej, bez złotych zegarków i pierścionków! A teraz odprowadź Lolę i wracaj, jestem strasznie zmęczony i jutro o szóstej muszę już być w Saint Maur.

Jak mam list ten adresować? — zapytał jeszcze Alfons.

— Napisz tylko: „panna Garrel“. to wystarczy i podpisz „Lucyan“.

— Gdzie mieszka ten Lucyan?

— Nie wiem, pewnie w Paryżu, bo widziałem go jadącego pociągiem!

Gdy Alfons odprowadzał Lolę do domu, rzekł do niej nagle:

— Obawiam się, że Robert nie podoła zadaniu!

— A ja myślę, że wszysto dobrze się skończy, — odpowiedziała Lola. — Jeżeli dostanę owe miliony, to podaruję mu rzeczywiście pół miliona.

— Naturalnie, zasłuży też na to. Byleby był dosyć ostrożnym!

— Ja mam wielie do niego zaufanie.

— Więc jutro spotkamy się o ósmej na dworcu, przyjdź tylko wcześnie. Teraz, gdy wrócę, zabiorę się zaraz do przepisania listu, potrwa to pewnie kilka godzin! Dobranoc ci.

Lola weszła do swego nowego mieszkania, Alfons zaś pojechał do domu i zaczął pisać. Ale była to robota o wiele trudniejsza niż myślał, niektóre bowiem litery niezmiernie były trudnemi do naśladowania. Po kilku godzinach dopiero list był skończony, a pismo tak doskonale naśladowane, że sam Lucyan byłby przysiągł, że on, a nie kto inny list ten napisał.

O czwartej dopiero udał się Alfons na spoczynek, o siódmej zaś wstał już i pożegnawszy spiesznie matkę, pobiegł na dworzec.

ROZDZIAŁ 26.

Robert tymczasem był o ósmej już przy oknie w swym pokoiku i widział Norę, przechadzającą się z Helenką po ogrodzie. Młoda dziewczyna była dziś bardzo blada i smutna i nie rozmawiała z nikim, nawet z Helenką, która jej przecież tego wcale za złe nie miała. Przełożona, będąc przekonaną, że to są następstwa wczorajszego zemdlenia, kazała jej zanieść mocnego wina i wyjść do ogrodu, lecz Nora oświadczyła, że czuje się już dobrze i woli pozostać w pokoju.

— W takim razie poślemy po doktora, — rzekła siostra Matylda.

— Nie, nie, wolę już iść z Helenką na przechadzkę, — zawołała Nora, i zaraz potem wyszła z przyjaciółką do ogrodu.

— Lucyan wyjeżdża na zawsze, — mówiła ze łzami, — i jego już nigdy nie zobaczę! Ach, jak ja cierpię! Myślałam, że chociaż z daleka będę go mogła raz po raz widzieć, tymczasem i tej pociechy nie będę miała.

— Biedna Noro, — rzekła Helenka, — żałuję was z całego serca, ale ja postąpiłabym doprawdy inaczej. Będąc tobą uciekłabym z ukochanym chociażby do Chin! Niechby mnie tam opiekun szukał!

— Nie żartuj sobie ze mnie! Cierpię okropnie!

Helenka uściskała serdecznie Norę. Kochała ją jak siostrę i byłaby dała nie wiedzieć co za to, gdyby Nora była szczęśliwą!

Robert żałował niezmiernie, że nie ma jeszcze listu gotowego, uważał bowiem, że teraz była najstósowniejsza chwila do przerzucenia go przez mur ogrodowy.

— Nie powinnaś się tak dać opanować rozpaczy, — mówiła Helenka czule, — cierpisz dobrowolnie i przyjmujesz bez walki męczeństwo, jakie na ciebie wkładają. Bądź silną, najdroższa! Lucyan chwilowo opuszcza Francyę, ale może wrócić i wtedy i dla nas może zabłyśnie gwiazda szczęścia!

— Nigdy! Dla mnie zgasła ona na wieki!

— Bóg cię nie opuści! Ale nie pożegnałaś się wczoraj nawet z Lucyanem!

— Nie mogłam!

— I nie spytałaś go, czy zabrał ten list z ogrodu...

— Nie, ale o tem wątpić nie można.

W tejże chwili przyszła służąca z oznajmieniem, że pani Nivel przyjechała z modniarką i że matka przełożona prosi, aby panna Nora przyszła do mównicy.

— Ach, wezmą ci miarę na — ślubną suknię! — zawołała Helenka. — Idź!

— Zdaje się! Pójdź ze mną! — prosiła Nora drżącym głosem, — doznaję takiego uczucia, jak gdybym szła na ścięcie!

I obie przyjaciółki udały się do klasztoru.

Robert tymczasem spojrzał na zegarek i postanowił iść na spotkanie Alfonsa. Domyślał się że nowego nic nie zaszło i zachowując zwykłą ostrożność, pobiegł do Creteil, gdzie miała być Lola z Alfonsem.

Malownicze brzegi rzeki Marne, mianowicie blisko mostu Creteil, są zwykłym celem przechadzki mieszkańców Paryża. Z prawej strony mostu, w kierunku Saint Maur, znajdowała się restauracya starego Bretina, w dni codzienne zupełnie pusta, w niedziele zaś i święta przepełniona tak, Britin, żona jego, dzieci i służba nie mogli wydążyć z obsługiwaniem gości.

Naprzeciw tej restauracyi, na drugiej stronie rzeki, znajdował się także mały lokal dla publiczności, ale tak lichy i nędzny, że tylko rybacy i młodzi rzemieślnicy przychodzili tu czasem na szklankę wina. Właściciel tej chaty posiadał jednak kilka łódek, które Paryżanie chętnie wynajmowali w celu przejechania się po rzece, i to było głównym jego dochodem.

Głęboka cisza panowała w około, gdy Robert zbliżał się do chaty, w której ani jednego nie było gościa. Gospodarz, nie młody już, lecz silny jeszcze mężczyzna, nie zwracał uwagi na nadchodzącego chłopca, dużo bowiem ludzi przechodziło tędy bez zatrzymania się u niego.

Robert oglądał się, jak zwykle, bardzo uważnie na wszystkie strony i z radością spostrzegł ładne, małe czołenko, bujające się lekko na falach rzeki.

Łowienie ryb o tym czasie zakazane, — pomyślał zadowolony, — z tej strony więc nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo! Łódka tylko powrozem do drzewa przywiązana — i to dobre, muszę się tylko dowiedzieć, czy wiosła zostają tu przez noc!

Zbliżył się teraz do mostu, zauważył, że dalej wiodła jeszcze jedna droga do rzeki i po chwili wszedł do chaty.

— Mógłbym tu co zjeść? — zapytał gospodarza.

— Owszem!

— Przyrządź mi pan śniadanie na trzy osoby!

— Dobrze, ale musisz poczekać, mój chłopcze, w dni codzienne bowiem nie mamy żadnych zapasów i muszę dopiero po wszystko posłać do miasta!

— Trwa to długo?

— Zależy od tego, co chcesz mieć na śniadanie!

— Chciałbym, aby było coś dobrego...

— Pieczone kurczęta, groszek, sałatę, omlet i ser. Wystarcza ci to?

— O tak!

Gospodarz spojrzał na zegarek.

— Teraz jest wpół do dziesiątej, — rzekł, — za godzinę wszystko będzie gotowe.

— Bardzo dobrze. Mógłbym się tymczasem przejechać trochę tem czołnem po rzece? — zapytał Robert uprzejmie.

— Naturalnie!

— A gdzie wiosła?

— Leżą w czołnie, nie zabieramy ich ztamtąd nigdy. Ale gdzie mam nakryć stół dla państwa?

Robert spojrzał na stoły, rozstawione pod drzewami i wskazał na miejsce, najwięcej od chaty oddalone.

Po wypiciu kieliszka likieru usiadł nad rzekę i patrzał na drogę, którą Alfons i Lola przyjść musieli. I ujrzał ich wkrótce.

Oboje mieli porządne ubrania robotnicze i szli wolno, jak ludzie, pragnący po ciężkiej pracy odetchnąć świeżem, wiejskiem powietrzem.

— Daleko jeszcze do mostu? — spytała Lola Alfonsa.

— Nie, będziemy tam za pięć minut. Byleby nas Robert nie zawiódł!

— O nie! Co on powie — na tem można budować! — zawołała Lola. — To jest nadzwyczajny charakter! Takich ludzi nie wiele jest na świecie!

W tejże chwili dał się słyszeć przeraźliwy świst. Alfons i Lola zadrżeli mimowoli.

— To on! — rzekł Alfons. — Widzę go już tam... z drugiej strony rzeki!

Robert wstał teraz i dawał im znaki ręką, aby się spieszyli.

ROZDZIAŁ 27.

Po upływie pięciu minut spotkali się bracia.

— No i cóż,— zawołał Robert, — nie wyszukałem wam ładnego miejsca do śniadania?

— Bardzo tu ładnie, — potwierdziła Lola.

— Dostaniesz pieczone kurczęta, sałatę i omlet. Teraz napijemy się najpierw piołunówki i przejedziemy się czołnem po rzece.

— Więc nie ma jeszcze śniadania?

— Nie, dopiero o jedenastej!

Po wypiciu likieru szepnął Robert:

— Masz list?

— Tak!

— Udał ci się?

— Sam Lucyan by go nie poznał!

— Daj mi go więc, a potem pomożesz mi przy moich przygotowaniach... Umiesz ty wiosłować?

— Bardzo nawet dobrze.

— Bierz zatem czołno i jedź tam, gdzie ci powiem!

Alfons odwiązał czołno i wszystko troje, zająwszy miejsca, odbili od brzegu.

— Dokąd jedziemy? — spytała Lola.

— Zobaczysz. Wiosłuj tylko cicho, Alfonsie, — odrzekł Robert.

— I cóż tam nowego? — odezwał się Alfons po chwili.

— Nic, ale myślę, że plan nasz uda się. Panna Garrel otrzyma list wkrótce. Zwróć teraz na prawo.

Po kilku minutach zbliżyli się do maleńkiej wysepki, zwanej świętą Heleną i ujrzeli kilkunastu robotników, pracujących nad nowym mostem. Rzeka w tem miejscu była tak wązką, że nie miała więcej, jak sześć metrów szerokości. Tutaj też znajdował się ów most, złożony z kilku belek i desek.

— Zatrzymaj czołno, — szepnął Robert, wyjmując z kieszeni szpagat i kamień, — zmierzę głębokość wody!

Lola pomogła mu i oboje stwierdzili, że nie jest tu bardzo głęboko.

— Trzy metry! Ale mnie to wystarcza, — zawołał młody łotr. — Wracajmy teraz na śniadanie! Albo czekaj — jedź do mostu i stań tam znowu!

Po kilku uderzeniach wiosłem przybył Alfons na oznaczone miejsce, położył wiosła na dno czołna i schwycił obydwiema rękami podpory drewnianego mostu. Robert

zaś stanął na ławce i przyglądał się uważnie całej jego konstrukcyi. Dwie belki, złożone na krzyż i służące jako podpory, połączone były tylko żelaznym ryglem, przyszrubowanym do belek.

— Teraz wiem już wszystko, — rzekł, dotykając palcami szrub. — Pamiętaj tylko drogę tak, abyś ją w nocy odnaleść mógł. Wracajmy!

Alfons obejrzał się na wszystkie strony, jak gdyby chciał rzeczywiście wbić sobie w pamięć drogę. Lola zaś myślała nieustannie o tem, jaki cel miała właściwie ta przejażdżka na rzece. I dziwny strach ogarnął jej serce.

— Czy to jest ów most z desek, o którym w owym liście wspominałeś? — zapytała nareszcie Roberta.

— Tak!

Przybywszy do restauracyi, zastali stół nakryty tam, gdzie Robert sobie tego życzył, i zasiedli natychmiast do śniadania.

— Nie wspominajcie tylko nic o moście, — szepnął Robert do brata i Loli.

O drugiej wypili czarną kawę i po kilka kieliszków piołunówki i umówili się, że o szóstej znowu się tu spotkają.

— Daj mi list, — rzekł Robert do brata, — zapłać śniadanie, zamów obiad na szóstą i przejdź się z Lolą po lesie. Ja teraz zaniosę list na moją pocztę!

Alfons wykonał sumiennie wszystkie rozkazy brata.

— Czy państwo weźmiecie znowu czolno — zapytał restaurator.

— Nie, przejdziemy się teraz do lasu, — odrzekł Alfons.

Robert pożegnał brata i Lolę i wrócił na swoje poddasze, unikając starannie spotykania się z robotnikami. Gdy stanął w swojej izdebce, pobiegł przedewszystkiem do okna, aby się przekonać, czy Nora jest w ogrodzie i zaniepokił się wielce, nie widząc jej na zwyklem miejscu przy murze.

Przecież o tej godzinie zawsze tam była, więc musiało coś zajść nadzwyczajnego, coś, co mogło mu popsuć wszystkie jego plany. I zmartwił się szczerze, bo nie wiedział w pierwszej chwili, jak sobie poradzić.

Nora zaś i Helenka dla tego nie były w ogrodzie, że wizyta pani Nivel i modniarki bardzo długo trwała. Przymierzano suknie Norze, wybierano koronki, jedwabie i aksamity i w końcu dała przełożona pani Nivel dopiero co otrzymany list od hrabiny Beaumont, która nietylko, że pozwalała Helence być druchną Nory, ale donosiła, że i ona sama przybędzie na ślub Nory.

— Cóż każesz powiedzieć twemu opiekunowi, kochane dziecko? — spytała pani Nivel, zabierając się nareszcie do odjazdu.

— Że proszę go o pozwolenie zostania tutaj aż do dnia, w którym kontrakt ślubny zostanie spisany, — odrzekła Nora.

— A cóż mam powiedzieć hrabiemu Gastonowi?

Nora zadrżała. Imie to samo już przejmowało ją wstrętem, spuściła więc głowę i szepnęła cicho.

Nic!

Pani Nivel, która się domyśliła prawdy lecz nie śmiała o niej mówić, nie pytała już Nory dalej, i pożegnawszy ją serdecznie, odjechała.

Teraz wyszła dopiero Nora do ogrodu w towarzystwie nieodstępnej Helenki.

Robert ujrzał je zdaleka już i uznał, że teraz nadeszła stanowcza chwila. W ogrodzie nie było zresztą nikogo, nikt więc nie mógł mu przeszkodzić w wypełnieniu zamiaru. Owinął szybko list Alfonsa w ten sam kamień, którym mierzył głębokość wody, owiązał go sznurkiem, aby się nie zahaczył na gałęziach drzew i wybiegł na ulicę.

Był on w tej chwili więcej wzburzony niż wtenczas, kiedy biednego Henryka prosto w plecy nożem ugodził, ale też to, co teraz wykonywał nie mniej straszną było zbrodnią. Od udania się tego planu zależało, czy dostanie pięć milionów!

Upewniwszy się, że na ulicy nie ma nikogo, przyłożył ucho do drzwi ogrodowych i słuchał, potem zapukał lekko raz, drugi......

Nora zbladła śmiertelnie.

— To on! — szepnęła Helenka.

Zaledwie wymówiła te słowa, gdy zręcznie rzucony list upadł tuż przed niemi, a młody zbrodniarz, szybko, jak strzała, wrócił do swego pokoiku, aby przez okno patrzeć, co się z listem stanie.

— List! — zawołała Helenka, podnosząc kamień. — I do ciebie! Naturalnie! Jest to zapewne ostatnie pożegnanie Lucyana. Nie może wyjechać, nie powiedziawszy, ci raz jeszcze, jak cię kocha i jak cierpi! Przeczytaj go — prędko!

Nora rozerwała kopertę, którą Helenka wsunęła do kieszeni, zaczęła czytać i krzyknęła przerażona.

— Cóż to, zawołała Helenka, — czy nowe jakie nieszczęście spotkało Lucyana?

— Czytaj sama, — jękła Nora, podając jej list.

— O! To on chce sobie życie odebrać, jeżeli nie wysłuchasz prośby jego! Noro, no, tak źle zaraz nie będzie!

— Ach, ja nie mogę uczynić tego, czego on żąda! — szepnęła Nora, ściskając rękami rozpaloną głowę.

— Przecież to znowu nic nadzwyczajnego!

— Jakto? Nic nadzwyczajnego? Schadzka w nocy? Ależ to szaleństwo! Nie pójdę!

— Rozważ to sobie dobrze, Noro! Jest to ostatnie pożegnanie. Może go już nigdy w życiu nie zobaczysz!

— Podrzyj ten list!

— Nie uczynię tego.....

— Więc ja sama.....

I wyrwawszy go z rąk Helenki podarła go na drobne kawałki i rzuciła je na ziemię. Wiatr rozwiał je na wszystkie strony.

— Biedny Lucyan, — szepnęła Helenka.

— Ja więcej cierpię, niż on, on pozostaje wolnym, a ja muszę się połączyć z człowiekiem, którego nienawidzę. Dla mnie byłaby śmierć dobrodziejstwem.

Robert miał łzy w oczach. Podarcie listu było dowodem, że Nora nie myśli zastósować się do jego życzeń i że tym sposobem — cały plan jego skończy się na niczem, i myśl ta doprowadzała go do rozpaczy. Tak wszystko zręcznie ułożył, tyle sobie zadał pracy i trudu, i to miałoby być daremnem?

— Nie! — pomyślał, — ona przyjść musi i przyjdzie!

Nora i Helenka siedziały długo jeszcze w milczeniu, każda własnemi zajęta myślami, nareszcie Nora wstała i otarła oczy.

— Chodźmy, — rzekła, — późno już!

I znikły pomiędzy drzewami.

Robert postanowił bądź co bądź plan swój wykonać, udał się więc znowu o piątej do Creteil i zastał tam już Alfonsa i Lolę.

— No i cóż? — zapytał Alfons ciekawie.

— List dostał się szczęśliwie do jej rąk i wielkie na niej wywarł wrażenie.

— Myślisz, że przyjdzie?

— Mam nadzieję!

— Ale jak otrzymać ten list z powrotem?

— Już on nam nic nie zaszkodzi.

— Jakto?

— Bo przeczytawszy go, podarła arkusz na drobne kawałki, sam to widziałem!

Alfons lżej odetchnął.

— Za to dostaniesz kieliszek wódki, — rzekł.

— Nie, — odpowiedział Robert, — dziś potrzebuję dużo zimnej krwi, a wódka rozdrażnia mnie zawsze. Wypiję potem trochę piołunówki z wodą, to lepsze dla mnie!

O szóstej zjedzono obiad.

— Tak nam dobrze u pana, — rzekł Robert do restauratora, — że mielibyśmy ochotę zanocować tutaj.

— Doprawdy?

— Tak jest. O której udajesz pan się na spoczynek?

— O dziewiątej, ale za to wstajemy wcześnie.

Robert nie pytał więcej, dowiedział się już tego, czego mu było potrzeba.

ROZDZIAŁ 28.

Smutny i przygnębiony opuścił Lucyan willę Marlot po spotkaniu się z Norą. Nadzieja, jaka na chwilę mu zabłysła, zgasła mu teraz na wieki i czuł, że wszystko dla niego stracone. Nora szła za mąż, a jemu nie pozostawało nic innego — jak odjechać i szukać zapomnienia w ciężkiej i mozolnej pracy.

Postanowił więc udać się do Paryża, wystarać się o paszport do Ameryki i pożegnać matkę w Saint-Maur. Potem opuścić Francyą na długie lata, a może i na zawsze!

Pogrążony w smutnych myślach szedł drogą wiodącą do Joinville i przypomniał sobie, że obiecał Andrzejowi, że dziś jeszcze raz go odwiedzi. Biedny chłopak czuł się bardzo słabym i nadzieja utrzymania go przy życiu stawała się coraz to mniejszą. Zwrócił się więc natychmiast ku domowi ogrodnika i ujrzał zdaleka już biegnącego Jabuba.

— Chciałam właśnie iść po pana doktora, — zawołał ogrodnik.

— Czy Andrzejowi gorzej?

— Ma wielką gorączkę i ciągle majaczy!

Przy łóżku chorego siedziała zapłakana matka i starała się łagodnemi słowami uspokoić syna, który rzucał się jak szalony. Twarz jego strasznie była rozpalona, a oczy dzikim błyszczały ogniem. Lucyan skonstatował, że noga powyżej kolana mocno była napuchłą, i że ratunku dla niego nie było.

— No i cóż, panie doktorze? — szepnął Jakub.

— Źle! Noga jest dwa razy złamana, jest to sprawa bardzo niebezpieczna!

— O Boże! I co z tego będzie?

— To co trzeba było uczynić zaraz z początku!

Pomimo gwałtownej gorączki, słyszał Andrzej i zrozumiał słowa doktora.

— Pan mi odjąć nogę! — krzyknął zrywając się z łóżka.

— Niema innej rady, mój chłopcze, — odrzekł Lucyan — Nie będziesz czuł żadnego bólu, zakloroformujemy cię...

— Niech się już dzieje co chce — jęknął Andrzej.

— Więc zgadzasz się na operacyą? —

— Tak! —

Lucyan zwrócił się teraz do ojca.

—Muszę się najpierw porozumieć z moimi kolegami w Saint-Maur, panami Bitter i Petelin, są to znakomici chirurdzy — rzekł. — Poproszę ich tu na jutro, tymczasem zaś dawajcie mu lekarstwo, które zapiszę.

Po napisaniu recepty udał się zaraz do doktora Petelin, i zajęty wyłącznie swym biednym pacyentem zapomniał na chwilę o Norze i swej nieszczęśliwej miłości.

Doktór Petelin powitał bardzo uprzejmie młodego kolegę i chętnie mu swoją pomoc przyrzekł, tak samo jak i doktórBitter. Nazajutrz rano odbyć się miała operacya.

Andrzej, po nocy dosyć stosunowo spokojnej, zgadzał się na wszystko i gdy operacya została wykonana, dziękował nawet lekarzom za ocalenie mu życia. Lecz Lucyan nie zupełnie był zadowolony stanem chorego i pozostał jeszcze przy nim kilka godzin.

— Gorączka wróci znowu, — rzekł do rodziców, zabierając się nareszcie do odejścia, — i gdyby się miały okazać jakie nowe niepokojące symptona, to przyślijcie po mnie, ja cały dzień już pozostanę w domu. Odeślijcie mi też później moje narzędzia chirurgiczne, — dodał, wskazując na dosyć obszerną skrzynkę, stojącą na stole.

— Pójdę zaraz z panem i zaniosę ją, — odpowiedział Jakub. — Możemy iść najkrótszą drogą — przez park, przez ów most tymczasowy. Oszczędzimy kawał drogi!

Lucyan zgodził się chętnie na to, a gdy przybyli do mostu, zastali tam budowniczego, który oglądał roboty i dawał nowe rozporządzenia swym ludziom. Lucyan znał budowniczego, lecz nie zatrzymał się dziś ani na chwilę, spieszno mu było do domu, i zamieniwszy tylko z nim ukłon, wszedł na most, chwiejący się pod jego stopami.

Lucyan pospieszył dalej i przybywszy do domu, powtórzył raz jeszcze ogrodnikowi wszystko, co się tyczyło pielęgnowania syna, dodając, aby w razie potrzeby natychmiast po niego przysłano. Potem rozmawiał długo z matką o swych planach na przyszłość, a ona starała się pocieszyć go i uspokoić, pomimo, że czuła, że rana serca jego zbyt jest głęboką, aby się tak prędko zagoić miała.

O dziewiątej dało się słyszeć gwałtowne pukanie do drzwi.

— Ach, wzywają mnie pewnie do Andrzeja, — zawołał Lucyan, otwierając okno.

— Panie doktorze! panie doktorze, — krzyczał Jakub rozpaczliwie, — Andrzej ma taką gorączkę, że nie możemy go w łóżku utrzymać! Zrywa bandaże i Bóg wie, co się z nim stanie! Ratuj pan!

— Idę już, idę, — odpowiedział Lucyan, a zwracając się do matki, dodał — nie wiem kiedy wrócę, zabiorę więc klucz z sobą.

I po chwili wychodził z domu.

— Idźmy znowu krótszą drogą przez most, — prosił ogrodowy.

— Naturalnie!

W tym czasie płacił Alfons rachunek w restauracyi przy moście Creteil. Obiad kosztował przeszło 40 franków, bo Alfons i Lola wypili kilka butelek mocnego wina, chcąc przytłumić nieco odzywający się z cicha głos sumienia.

Wieczór bardzo był ciemny. O dziewiętej spojrzał Robert na zegarek.

— Pójdziesz pan dziś późno spać, — rzekł do restauratora, — i to z naszej winy!

— O, to nie trwa długo. W dziesięciu minutach wszystko z stołu sprzątnięte i możemy się zaraz potem udać na spoczynek.

— A wiosła zostawisz pan w łodzi?

— Tak, nikt mi ich tu nie ukradnie!

— Więc dobranoc!

— Dobranoc! Może państwo znowu raz przyjdziecie do mnie!

I restaurator zamknął drzwi, zostawiając stoły, krzesła i wiosła na dworze.

— Dokąd teraz pójdziemy? — zapytał Alfons.

— Idźcie tylko za mną, — odrzekł Robert.

Szli więc w milczeniu drogą wiodącą do Creteil i zwrócili się w stronę wysepki.

— Zachowajcie się jak najciszej, — szeptał Robert, — rozpoczynam teraz robotę, która wymaga całej mej uwagi i energii!

Alfons i Lola zadrżeli, nic mu jednak na to nie odpowiedzieli.

I szli w milczeniu dalej, jak duchy — jak złe duchy!

Pomiędzy gałęziami drzew ukazywał się raz po raz blask księżyca, czasem liście lekko się poruszyły — zresztą głęboka cisza panowała w około.

— Zatrzymajmy się tu na chwilę, — szepnął Robert, — musimy bowiem zaczekać, aż restaurator uśnie. Potem pójdziemy po czołno.

Usiedli pod rozłożystym dębem. Alfons trzymał rękę Loli, która drżała gwałtownie, Robert zaś milczał i myślał jedynie o Norze.

— Przyjdzie — czy też nie przyjdzie, — mówił sobie w duszy. — Ale cóż, czy tak, czy owak, plan mój wykonać muszę!

Po upływie pół godziny wstał.

— Idźmy teraz i wsiądźmy w łódkę, — rzekł. — Ja odwiążę ją od słupa, ty zaś bierz wiosła i zawieź nas aż do początku odnogi wielkiej Marny!

— Tak daleko?

— Tak!

Zeszli teraz na dół, na ścieżkę wiodącą pod mostem. Przykra to była droga — z jednej strony szumiały złowrogo fale rzeki, z drugiej stały liczne słupy drewniane, o które można było sobie łatwo rozbić głowę. Musieli się więc schylać ciągle i dla tego szli bardzo wolno.

Nagle stanęła Lola i schwyciła słup obydwiema rękami.

— Co to? — szepnął Robert.

— W głowie mi się zawraca, — odrzekła drżącym głosem, — boję się...

— Głupstwo, — zawołał Robert niecierpliwie. — Podaj mi rękę!

Po chwili odzyskała też zwykły swój spokój i najpierwsza wskoczyła do czołna.

Robert, którego oczy zdawały się przeszywać ciemności, zoryentował się natychmiast.

— Jedź na prawo, — szepnął.

Alfons wykonywał wszystkie rozkazy brata bez najmniejszej opozycyi. Ani mu przez myśl nie przeszło, aby go się o co pytać lub stawiać mu jakiś opór!

— Lola wysiądzie tu, — odezwał się znowu Robert — i zostanie na brzegu na straży. Ukryj się za drzewem, — dodał, zwracając się do niej, — a gdybyś ujrzała jakie czołno, to zawołaj na nas!

Lola nie chciała tu zostać samą. Wiedziała, że chodzi o zamordowanie Nory i umierała nieomal z przerażenia na myśl o tem, co się za kilka minut stanie.

— Nie, ja nie chcę wam pomagać, — zawołała, zdobywając się na odwagę, — ja nie chcę!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Najtańsze źródło zakupu dla sprzedających z drugiej ręki.

Największa i jedyna polska parowa warzelnia smalcu i fabryka tłuszczy spożywczych

M. JEZIERSKI

Poznań O. 1

Telefon Nr. 407. **Adres do telegr.: „Emjot."**

ul. Południowa Nr. 4 (Südstrasse 4) naprzeciw rzeźni miejskiej

poleca hurtownie począwszy od 30 funtów

słoninę krajową i zagraniczną soloną i wędzoną,

smalec surowy, smalec topiony bardzo dobry w smaku

smalec swojski nadzwyczaj delikatnego smaku,

tłuszcz topiony z doprawą marka „Emjot."

własnej fabrykacyi. (prawn. zastrzeż.)

Tłuszcz topiony marka „Emjot" składa się z najlepszych tłuszczy spożywczych, posiada bardzo delikatny smak i zapach, zastępuje pod każdym względem **najlepszy smalec topiony** i jest od smalcu topionego **o 7 marek na centnarze tańszy** i tak samo do smarowania na chleb, jak gotowania i pieczenia ku zupełnemu zadowoleniu użytym być może. 48

Specyalność: WYPRAWY.

Stała wystawa.

W. JANASZEK, Poznań

ul. Jezuicka Nr. 1

(w narożniku Starego Rynku)

Magazyn wypraw.

Porcelana. Wielki wybór ozdobnych serwisów stołowych na 6, 12, 18 i więcej osób.

Serwisy do kawy.

Szkło kryształowe gładkie, rznięte, grawirowane.

Kieliszki, szklanki, salaterki, talerzyki, karafki, zastawy etc.

Lampy gazowe 37

Lampy naftowe

Lampy spirytusowe.

Sprzęty kuchenne.

Emal. naczynia. — Stalowe i drewniane wyroby, szczotki, łóżka żelazne, umywalki, garnitury do mycia etc.

12 okien wystawnych.

Cennik na żądanie bezpłatnie.



Korzystna sposobność nabywania lub sprzedawania

majątków większych, folwarków i gospodarstw oraz regulowania hipotek, 39

które uskuteczniam szybko, sumiennie i tanio.

G. Ritter, Poznań

Wodna ul. 27. **Telefon Nr. 62.**

Interes zbożowy, parcelacyjny i finansowy.

Zwracam szczególną uwagę na to, że mam każdego czasu do oddania **5 procentowe pierwszo. miejscowe hipoteki** (pupilarnie pewne) na większych i mniejszych gospodarstwach ziemskich.

Samochody

osobowe i ciężarowe najsławniejszych fabrykatów krajowych i zagranicznych poleca po cenach fabrycznych, **używane** oddaję **po nader przystępnych.**



Utrzymuję 41

skład pneumatyków i przyborów.

Fachowy warsztat do naprawy.

Garage.

St. Brzeski

POZNAŃ, św. Marcin 64.

Założony 1894. **Telefon 1101.**

Redaktor

co dopiero opuściwszy przeszło półroczną kaźń więzienną za przestępstwo prasowe jednej z gazet prowincyonalnych, dr. fil., obeznany także z cukrownictwem i prowadzeniem pólek doświadczalnych, przyrodnik, znający języki: rosyjski, francuzki, włoski i niemiecki, poszukuje zajęcia zaraz lub od 1-go kwietnia r, b. Z powodu pobierania renty od wypadków wymagania co do płacy niewygórowane. 53

Łask. zgłosz. pod **Nr. 53** do eksp. „Pracy."

Najlepsze młodzie

funtowe 38

z fabryki Lubańskiej

jedyne zastępstwo na **Poznań** i prowincyą w składach mąki

G. Rittera w Poznaniu

ul. Wodna 27 i pl. Sapieżyński II.

Telefon Nr. 62.

1/4 losy

po 20,10 mk., 1/8 **losy** po 10,00 marek i 10 fen. porto, poleca do 2-giej klasy 214-ej **pruskiej loteryi.** 51

Wistuba,

Królewski Lot. Kolektor.

Ober-Glogau.

— Kocham panią.
— Ależ panie, pan jeszcze masz mleko pod nosem.
— Nie podobna, bom tylko pił czarną kawę.

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Rafael Sant. **Madonna z Dzieciątkiem Jezus.**
Monachium. — Pinakoteka.

Na dzień Oczyszczenia Najśw. Maryi Panny.

(2-go lutego.)

Pod liliowych kielichów podcieniem
Usiadł Chrystus z anielską drużyną
I rzekł: „Idźcie na ziemię mi siną
Mroźnym szronem i śniegu iskrzeniem,
I wyczeszcie dyamentu grzebieniem
Włosy słońca,—niech złociste spłyną,—
I świetlaną rozsnują mi przędzę
Na zagony, — w śniegowej siermiędze.

Idźcie — błękit rozwieście mi nowy
Nad wieśniacze śniegiem siwe strzechy,
Nad pól równie i nad lasów wiechy,
A na biały płaszcz ziemi, — śniegowy
Przepych iskier rozsiejcie tęczowy,
I rozlejcie zorzane uśmiechy,
Niech się ziemia w majestat otuli
Na dzień mojej serdecznej Matuli.

Niech od słonka się rozślni pieszczoty
Niech się cała rozmodli, — rozśpiewa—
Jak z brylantów kaskady niech drzewa
Gałązkami leją strumień złoty,
Niech się pola ustroją w klejnoty
Jakby spadła tęcz krasnych ulewa,
Bo w weselu i w cudzie się musi
Ziemia ścielić do stóp mej matusi".

Poszli anieli, posłańcy Boże,
Słonku dyamentem czesać warkocze,
Rorwiesić błękit, zróżowić zorze,
Tęczami usłać śnieżne rozłocze,
I stroić szybki wieśniaczej chaty
W srebrne koronki, w zimowe kwiaty.

Poszli anieli, heroldy Boże,
Wiatrowym hymnem obwieścić światu,
Że na ziskrzone śnieżne podłoże
W złotej koronie, w płaszczu z bławatu,

Zejdzie,—gdy błyśnie zorza poranna—
Świat błogosławić — Najświętsza Panna.

* * *

Zeszła śliczna w mroźny ranek
Na ziemię zmarzniętą,
Z gwiazd nad główką mając wianek,
Pod nóżkami sierp miesiąca,
I stopką przeświętą
Kędy stąpi, tam świecąca
Biel się śnieżna w skry roztrąca,
W dyamenty ścięta.

Zeszła! — rączki jak lilie
Nad senne zagony,
Nad śnieg wzniosła, co je kryje,
Błogosławieństw lejąc moce
Na wsze świata strony,
Na prac dzionki, na snów noce,
Na pot ludzki — łzy sieroce,
Na siew w łan rzucony.

Błogosławi płaczki brzozy
I wierzbinę śpiewną,
I bór ciemnej pełen grozy,
Góry smętne i podniebne
I tę mgłę rozwiewną,
Co na łany spadnie chlebne,
Gdy chmur szmaty przyjdą zgrzebne,
Gdzieś rosą — królewną.

Od podniesionych Przeświętej rąk
Przez zórz kryształy,
Błogosławieństwa szły tęcze w krąg
Na wioski, lasy i równie łąk,
Na ten świat biały.

A od nich jeno leciało w zwyż
Cichutkie łkanie,
Jakby ta ziemia, wbita na krzyż,
Niosła jej w skardze zimowych cisz
Nieme błaganie.

Jakby pod nieba jasnego skłon,
Po blasków grzędzie,
Jakiś bezgłosy, rozpaczny dzwon
Pełzał jękami przed Boży tron
Po łask orędzie.

I była cisza nieskończona
Nad rozełkanem pól milczeniem,
Jakby pod śniegiem z głębi łona
Ziemia modliła się westchnieniem—
A gdy spostrzegli to anieli
Z gniewu im jasne twarze bledną,
I do Chrystusa polecieli
Oskarżyć przed Nim ziemię biedną.

O Panie! Panie! ziemia oto
Poświatą słonka strojna złotą,
Ubrana w tęcze brylantowe,
Do stóp Najświętszej gnie się Pani,
Lecz jej nie niesie hymnów w dani
Jeno milcząco chyli głowę.

O Panie! Panie! z pod nóg Świętej
Tryskały śnieżne dyamenty
I blasków cudu szły pierścienie.
Lecz nad polami szerokiemi
Ponad chatami wieśniaczemi
Rozsiadło głuche się milczenie.

Na Chrysta twarzy błysnął gniew,
Piorunów tysiąc trzasło,
Gwiazd tysiąc zmroził lęku wiew
I tysiąc gwiazd zagasło!

* * *

I przybieżała Najświętsza Panienka
Słodko o powód pytając się gniewu,
I miłosierdzia pełna wnet przyklęka,
I głoskiem milszym od słowików śpiewu
Rzecze: Jezusie! — Syneczku mój złoty!
Nie przypominaj Ty mi swej Golgoty!

Nie gniewaj Ty się, że ta ziemia smutna
Nic prócz błagalnych modłów mi nie dała!
Niegdyś krwią swoją ofiarną rozrzutna,
W Imię Twojego krzyża bojowała
I mnie koroną ozdobiwszy skronie,
Na swym królewskim posadziła tronie.

Bom w Polsce była mój Synu i Panie!
W Polsce, co nędzę cierpi Hiobową, —
Gdzie dziś niedola, płacz i narzekanie,
Gdzie zawsze jestem niebieską Królową,
Gdzie jeno błagań łkanie słychać wszędzie
O wstawiennictwo moje — i orędzie.

Będzieszże głuchy na me prośby Synku,
Gdy o Królestwo się moje upomnę?
Daj mi je Jezu dzisiaj w upominku!
Daj! — a wnet hymny się wzniosą ogromne,
A ja na dawnym moim tronie siędę,
I w każdem sercu — nowy tron zdobędę.

Na Chrysta twarzy uśmiech drgnął,
Niebo się rozjaśniło,
Gwiazd tysiąc nowe kształty wziął
Tysiąc się gwiazd roztliło.
I rzekł: Matusiu! — weźże Ty
Na się odrodzeń brzemię,
Podnieś lud z mroków, otrzej łzy,
Każ mu ukochać ziemię!

Zaprawdę bowiem tylko z niej
Odrodzi się na nowo! —
Wtedy — koronę jasną wdziej
Najświętsza, Ty, Królowo!

Stach J.

Złote myśli.

Daleko mniej kosztuje pisać i rozprawiać, niżeli szczerze mówić prawdę i narażać się w jej obronie.

Z dziejów Humania.

Napisał **Stanisław Tchorzewski.**

3) (Ciąg dalszy.)

III.

Blaskiem łun krwawych, odgłosem strzałów, setkami ludzi straconych zaznaczył się w dziejach Humania straszny rok 1768-my. Zuchwałe bandy hajdamaków, mając po swojej stronie wzburzony tłum chłopstwa i oddziały zbuntowanych kozaków nadwornych, dokonały scen strasznych, zakończonych tak zw. rzezią humańską. Kto przewodniczył tej rozszalałej tłuszczy? Prowadził ją sprytny i przebiegły kozak Maksym Żelezniak. Jeżeli o końcu tego watażki bardzo sprzeczne posiadamy wiadomości, to dzieje jego lat młodszych nieco jaśniej występują, przedstawiając nam dość liczne przygody. Rodem z „Bobryniecklego zimownika" na rzeczce Hromoklei (gub. chersońska, pow. bobryniecki), były puszkarz tymoszowskiego kurenia zaporożców, włóczęga i handlarz okowitą, w czasie rozruchów hajdamackich na Ukrainie znajdował się Żelazniak w motroneńskim monasterze pod Czehryniem.

Rozruchy z powodu unii wynikłe, skłaniają ihumena tego monasteru, Melchizedecha Znaczko - Jaworskiego do porozumienia się z Żelazniakiem, jako człowiekiem „bywałym," i powierzenia obrony ludności obrządku greckiego.

Hajdamaki gotują się na rzeź i mordy: kują w lasach noże i ostrza spis, ściągają broń i ładunki. Dnia 23-go kwietnia r. 1768-go w dzień dorocznego święta w monasterze, Melchizedech święci broń i zagrzewa do obrony. Tłumy włościan okolicznych, na „prazdnik" przybyłych, powiększają zastępy hajdamaków, Melchizedech wydaje watażce pargamin, złoconemi literami pisany, błogosławiąc na mord i rozboje... Dokument ów, jak opowiadali współcześni, miał być sporządzony według wskazówki z zakresów granicznych pochodzącej, czemu jednak przeczą polscy i ruscy historycy doby obecnej; trudno natomiast przypuszczać, żeby ruch hajdamaków pozostawał w zależności tylko od Melchizedecha i watażki — Żelezniaka.

Wyrusza tedy Żelazniak w krwawą drogę. Pali wsie i miasteczka, morduje, rabuje, siejąc śmierć i zniszczenie za sobą. Zdradą zdobywa i w straszny sposób wycina Lisiankę, niszczy Kaniów i Bogusław, a odstąpiwszy od murów Białej-Cerkwi, zmierza pod Humań.

Szlachta okoliczna, już od kilku ty-

godni zastraszona pożogą i rozbojem, ściąga pod wały Humania. Przyjezdni wciąż przybywają. Ulice, przedmieścia i rynek zajęte. Kto później przyjechał, staje za wałami miasta taborem. Liczba osób w taborze doszła do sześciu tysięcy, ciągle wzrastając. Tabor obozuje w „Grekowym lesie.“

Humań posiadał liczną załogę. Pułk kozaków humańskich, z dwóch tysięcy trzechset ludzi na koniach, pod wodzą pułkownika Obucha, sto ludzi piechoty nadwornej dla straży bram, z kapitanem Lenartem na czele i dwieście konfederatów, bawiących podówczas w Humaniu.

Pułk humański, z Obuchem na czele, wyrusza na spotkanie Żelezniaka. Przez czas jakiś wieści z pułku nie było, natomiast zbiegli ze szlachty okolicznej do taboru pod Humaniem zaczęli szeptać, że Gonta zostaje w porozumieniu z Żelazniakiem. Powiadomiony o tem Mładanowicz, każe natychmiast stawić się wojsku. W obliczu wszystkich zgromadzonych w mieście, pułk humański poraz trzeci przysięgał na wierność przed cerkwią św. Mikołaja.

Krąży opowieść, jakoby Franciszek Salezy Potocki, na kilka tygodni przed rzezią, miał pisać do Gonty list pełen łaskawych wyrazów, obiecując setnikowi sowite wynagrodzenie za obronę zagrożonej Humańszczyzny, a szczególnie Humania; Mładanowicz, dla niewiadomych bliżej przyczyn, listu tego nie oddał; podczas rzezi i plądrowania zamku Gonta list odnalazł i wściekły od gniewu pokazał fatalne pismo nieszczęśliwemu Mładanowiczowi.

„Ty jesteś tej krwi rozlania przyczyną; czemuś mi tego listu nieukazał?“

Cięty w odkrytą głowę szablą, porąbany w sztuki, gubernator włości humańskiej wyzionął ducha.

Dziwne losy kierują życiem człowieka! Gonta będąc jeszcze kilkunastoletnim wyrostkiem, na Polesiu za złoczyństwa na szubienicę skazany, uratowany został przez Mładanowicza i wykupiony, gdyż za niego zapłacił grzywny sądowi cztery tysiące złotych i do milicyi wojewodzińskiej go zapisał.

Wojsko wyrusza z miasta. Pomimo przysięgi, Gonta łączy się z Żelazniakiem w Sokołówce i niebawem stają pod Humaniem. Pułkownicy Obuch i Magnuszewski, za zezwoleniem Gonty, uchodzą za granicę. Obroną miasta dowodzi geometra Szafrański, żołnierz z szeregów Fryderyka II-go, i kapitan Lenart. Do załogi należą i żydzi, o których mówią, że mężnie bronili okopów, czemu jednak inne współczesne źródła zaprzeczają. Ksiądz Kostecki z farnym proboszczem przewodniczy solennej procesyi, która, wedle kroniki ówczesnej, „przez 28 godzin z Panem Bogiem“ obchodziła miasto; chociaż kule buntowników padały z wystrzałów od uroczyska Turka wśród ludu, jednak nie szkodziły nikomu; poczytywali to nieszczęśliwi za wróżbę pewnej siebie obrony. Dzwony biły żałośnie, a rozkołysany spiż jakoś dziwnie jęczał, niby zwiastun żałoby i śmierci...

W blaskach słonecznych złotawe kurzu tumany zwiastowały przyjście nowych tłumów. Straszna rzeź w taborach napełniła strachem i zgrozą oblężonych w Humaniu. Huk dział



Żelezniak.

miesza się z wrzaskiem i jękami. Przypada to na dzień 20-sty czerwca roku 1768-go.

Na dobitek, w Humaniu zabrakło wody. Teraz dopiero przezorna władza Humania przystąpiła do kopania studni. Rozpaczliwe położenie mieszkańców wobec braku wody, przedstawiają słowa dziejopisarza: „studnia sześćdziesiąt sążniowa zasmuciła kamieniem, a nie ucieszyła wodą; do drugiej szukania zabierano się, ale czasu nie wystarczyło. Starzy ludzie widzieli jeszcze kopiec nad tą studnią, która stała się mogiłą czterystu uczniów szkół bazyliańskich. Mówią, że do niedawna krew pokazywała się na powierzchni ziemi przy tej strasznej mogile!...

Trzydzieści godzin trwała dzielna obrona miasta, armaty grzmiały nieustannie. W Humaniu zabrakło naboi. Pragnienie pali oblężonych: piją więc miody, wiśniak i wina wołoskie; od trunku wzrasta niepokój w nielicznych zastępach obrońców. W nocy, która była bez księżyca i ciemna jak loch, piechota wszystka, milicya zielona, dragony, do Gonty wszystko to przeszło. Służba z miejscowych ludzi złożona i zamknięci w więzieniu złoczyńcy również uciekają przez okopy do obozu hajdamaków.

Dnia 24-go czerwca roku 1768, Gonta, obiecując bezpieczeństwo i życie mieszkańcom, wprowadza przez bramy miasta rozszalały tłum hajdamactwa. Pióro niezdolne jest opisywać tych dni rozpaczy.

. . . .

Kończymy ten krwawy rozdział. Z wyjątkiem kilkunastu osób, w tej liczbie dzieci Mładanowicza, wszyscy zostali pomordowani; wogóle zginęło straszną śmiercią około 16-stu tysięcy ludzi. Świętokradcy znieważali przybytki Pańskie; jeden z atamanów, nazwiskiem Tytyk, niesie z kościoła do cerkwi puszkę z Eucharystyą, obwiniętą korporałem, lecz tłum rozbestwiony, wytrąca mu z rąk ten poświęcany sprzęt liturgiczny, depcąc komunikanty po ziemi!... Wszystkie przedmioty i naczynia kościelne, ornaty, krucyfiksy nie uszły rąk bezbożnych. Podziurawione od kul i broni białej, obrazy klasztorne dotychczas oglądać można na probostwie w Humaniu.

Do niedawna w klasztorze Bazylianów zachowane było malowidło, przedstawiające o. rektora Herakliusza Kosteckiego, kiedy ponosząc śmierć męczeńską, rozrzucone po ziemi hostye zbierał i pożywał; dobito go pikami i w kanał wrzucono. Na tem malowidle znajdował się nadpis:

„R. P. Heraclius Kostecki O. S. Basilii, primus collegii Humanensis rector, zelosissimus missionarius qui magna suae sanctitatis de-occisus, anno D-ni 1768 d. 9 Iudit documenta in provincia Russiae, cum suis sociis, crudeliter nii.“ (Z rękopisu p. Władysława Jasienieckiego). — W przekładzie brzmi to: N. O. Herakliusz Kostecki, reguły zakonnej świętego Bazylego, pierwszy rektor humańskiego kolegium, najprzykładniejszy misyonarz, który dał liczne dowody świątobliwości, w tej okolicy został wraz ze swymi towarzyszami okrutnie zamordowany, roku Pańskiego 1768-go dnia 9-go czerwca.“

Żydzi, skupieni w synagodze, bronią się przez czas niejaki. Jeden z izraelitów dwudziestu hajdamaków kładzie trupem, inny pokonał ich trzydziestu; zniecierpliwione hultajstwo armatami niszczy synagogę, gdzie trzy tysiące żydów zginęło; krew pomordowanych przelewała się za próg bóżnicy.

Ciała zabitych rozkładają się, szerząc choroby w obozie „rizunów.“

Psy pożerają zwłoki. Spędzone przez hajdamaków chłopstwo z wsi okolicznych grzebie ciała.

Zbójcy dzielą się łupem: kupy sprzętów, odzieży, złota i srebra leżą nagromadzone. Kupcy z Kijowa i Bałty przybywają w celu nabycia zdobyczy, dobijając targu za marne ceny; resztę zakopują hajdamaki na miejscu obozu swego, gdzie obecnie teren Zofiówki.

Hajdamactwo składa radę w obozie: Żelezniak zostaje hetmanem Ukrainy kijowskiej i „księciem śmilańskim,“ Gonta — wojewodą ruskim i gubernatorem Humania.

Liczne bandy hultajstwa oddzielają się chwilowo od obozu, niszczą Granów, Teplik, Daszów, Tulczyn, Monasterzyska Hajsyn, Korzełę, Rosówkę, Żydyczyn, Ładyżyn...

Kozak Szyło zabiega z oddziałem do Bałty, a nie znalazłszy tam szlachty i żydów, morduje ich za granicą na ziemi tureckiej, gdzie nieszczęśliwi ocalenia życia szukali.

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim.

(Szkic historyczny).

Napisał Karol Cieszewski.

XXV

Interregnum.

Ośmielona powodzeniem konfederacya przywiodła do skutku myśl dawno już powziętą i „od dawna dla wybadania opinii rozsiewaną“, to jest, ogłoszenie wakansu tronu.

Myśl ta zatrudniała już od dawna stronnictwa i intrygantów, bo jeszcze od pierwszych zawiązków konfederacyi radomskiej. Intrygant Podolski prymas, przewrotny Wessel, Repnin, Wołkoński — wszyscy myślą się tą zajmowali, używając jej jako broni przeciwko królowi.

Konfederaci tylko barscy na tę myśl odważyć się nie mogli. Postępowali uczciwie. Przez dwa lata pracowali nad tem ,ażeby przekonać króla o niedoli narodu i jego hańbie, i zniewolić go do przystąpienia do konfederacyi barskiej. Gdy zaś wszystkie te zabiegi pozostały bez skutku, „wzrastała w całym kraju opinia: że ogłoszenie *Interregnum* jedynym jest środkiem pozbycia się Stanisława.“

Jak zwykle w takich rzeczach, mówiono głośno o tem postanowieniu, zanim ono zostało ogłoszone. Wszyscy oczekiwali tego kroku niecierpliwie, mniemając, że wpłynie on przeważnie na losy toczącego się boju.

Rozmaite jednak względy wstrzymywały ostateczne to wyrzeczenie. Turcy oburzali się, że Polacy występują przeciw własnemu królowi i szerzyli nieufność. Moskwa byłaby może nic przeciwko temu nie miała, ale duma nie pozwalała jej „patrzeć obojętnie na zburzenie dzieła, na przekorę słuszności wzniesionego.“ Król zaś Stanisław, obawiając się nadewszystko utraty tronu, trzymał się go uporczywie — chociaż niedołężny! podpisał bez namysłu akt abdykacyi 25 listopada 1795 roku.

Komedyant i pięknych słów szafarz bogaty, odmalował Poniatowski w jednej z późniejszych mów swoich bardzo romantycznie przywiązanie swe do tronu. Położywszy kapelusz na stole, zawołał donośnym głosem: Panować będę, choćby na takim kawałku ziemi, jak ten kapelusz zajmuje!

„Zaiste ograniczona była żądza — robi słuszną uwagę autor W. o. k. b. — przecież i tej spełnić mu się nie udało. Przeżył nawet imię królestwa polskiego, lecz pozostał panem 200000 czerwonych złotych rocznej pensyi, którą mu mocarstwa rozbierające Polskę płaciły...“

Nadeszła nareszcie chwila, gdzie postanowienie konfederacyi dłużej wstrzymać się nie dało.

„Bohusz sekretarz konfederacyi w Cieszynie — opowiada Lelewel — wygotował instrument i zdecydował, że podpisano akt, którym Stanisława Augusta za przywłaszczającego sobie tytuł królewski uznają, wzywają aby się osobiście jawił, a w przeciwnym razie, z pod prawa go wyjmują....“

Manifest ten — z datą 9 sierpnia r. 1770 — powiada między innemi:

„Daje Bóg w gniewie swoim królów, i upokorzeni pod mocą Najwyższej ręki znosilibyśmy cierpliwie ten bicz kary, gdybyśmy według pozwolonej przez też Opatrzność nam wolności sami sobie jego wybrali; lecz narzucony przez broń nieprzyjacielską, Bogu i ludziom niewdzięczny, wszystkie przystojności i w społeczności stargawszy związki, religią świętą rzymską katolicką zrodziwszy i jej wyparłszy się, świętnice pańskie i w nich mieszkalne tajemnice, domy cnoty i bezpieczeństwa przez swoich zgwałciwszy i znieważywszy, dopełnił gniewu i kary, przebrał miary i sam jeden powszechnego złorzeczenia stał się celem...“

„A nie tak ogłaszamy, jako raczej ogłoszone jeszcze przez j. o. jmci Łubińskiego prymasa korony polskiej i w .księstwa Litewskiego wspieramy trwające od śmierci Augusta II. *interregnum,* całemu narodowi oznajmujemy. *Consequenter* zaszłe od tamtego czasu pierwej *in ordine* konwokacyi i elekcyi, później *sub nomine* usurpatora związki, zjazdy, spiski i same *etiam* konfederacye jako pod bronią moskiewską stale *cum omnibus* onych *actis* kasujemy, za niebyłe deklarujemy. Przeciwnym sposobem konfederacye *ac omnes actus* przeciwko wojskom obcym i uzurpatorowi utwierdzamy i umacniamy.“

Kończy się zaś manifest ten temi słowy:

„...Zjazd rad przyszłych, skoro tylko od broni nieprzyjacielskiej wolniejsi, naznaczymy; w ukaranie zdradliwych ojczyzny synów, nieprzyjaciela adherentów, wejdziemy; Stanisława zaś Poniatowskiego intruza, uzurpatora i tyrana, jeżeliby jeszcze utrzymywać się, partye jakie zgromadzać, w narodzie mieszać ważył się, natenczas wszystkim otwartą lub tajemną mocą tegoż i z nim złączonych prześladować, *qua capita invindicabilia* bez żadnego na życie względu znosić, nietylko dozwalamy, ale *amore publico* obligujemy i zalecamy. Wojskowym zaś wszystkim, którzyby go odstąpiwszy z nami nieodwłocznie łączyli się, amnestyą i przyszłe Rzpltej względy przyrzekamy...“

Manifest ten konfederacyi, tak zwany manifest *gravaminum,* oblatowano po wielu grodach i ogłaszano hufcom konfederackim.

Wszyscy naczelnicy sił zbrojnych ogłosili go, z wyjątkiem Zaremby, „który — opowiada ks. Kitowicz — odebrawszy taki instrument, złożył wielką radę wojskową z wszystkich oficerów sztabowych, a nawet i dywizyjnych, aż do chorążego; a przełożywszy im zaraz z góry okropne skutki z publikowania tak niewczesnego *interregnum,* które konfederatom, mającym jeszcze dosyć do czynienia z Moskalami, ściągnęłoby na karki drugiego nieprzyjaciela, to jest króla, dotychczas niedbale i tylko dla oka moskiewskiego konfederatów prześladującego — wskórał to, co chciał wskórać, że wszyscy przypadli na jego zdanie: żeby detronizacyi, czyli *interregnum* nie publikować...“

Prawdziwą zaś przyczyną tej niechęci przeciw publikacyi aktu rządu narodowego, były obietnice moskiewskiego rządu, którym pan regimentarz, zawsze niepewnego charakteru, chętnie nadstawiał ucho, a nawet już wtedy w tajemnej z wrogami był zmowie.

Co do znaczenia politycznego aktu

tego, najrozmaitsze są zdania. Krasiński biskup, chorujący — jak już powiedzieliśmy — na dyplomacyę, naganiał krok ten, w liście do jeneralicyi, pisząc: „żeście JW. WM. Panowie do własnej stodoły strzelili, jeżeliście tę rezolucyę bez zniesienia się z dworem wersalskim, wiedeńskim i dreznieńskim wzięli.“ Ferand utrzymuje, że krok ten pozbawił konfederacyę prezydenta w Wiedniu. Rulhiere wyrażając się o nim przychylnie ze stanowiska moralnego a nawet prawnego, gani go ze stanowiska politycznego, utrzymując, że „kraj mógł przez to mało zyskać, a wiele stracić.“

Jakiekolwiek były o tem zdania, to pewna, że byłyby się wszystkie dwory i politycy zgodzili w pochwałach, gdyby akt ten korzystne był odniósł skutki. Bo w rewolucyach to tylko jest złe, co się nie uda — co do dworów zaś, śmiało twierdzić można, że zrzucenie z tronu Poniatowskiego nie byłoby ich bardzo zasmuciło. Choiseul bowiem wypytywany odpowiedział: „że lubo nie może doradzać detronizacyi, przecież nie myślą o Wersalu rozbierać praw i konstytucyi polskich, a tem mniej przeciwić się gorącym życzeniom konfederatów“ — podczas gdy przezorny Kaunitz najgłębsze zachowywał milczenie.

Wszystko byłoby poszło dobrze, gdyż konfederacya była w stanie poprzeć akt ogłoszony.

Tak jednak nie było. Siedząc za granicą nie miała zupełnego zaufania w kraju, a więc i dostatecznej siły — a zawichrzenie i nieład nie wabiły żadnego pretendenta do polskiej korony. Później zaś, przewrotni sąsiedzi użyli kroku tego za pokrywkę niesumiennych swych działań...

Strawiński i innych dwóch konfederatów, urzędownie królowi akt ten w stolicy w zamku wręczyli.

Złudzenia.

Opowieść
z czasów księcia Józefa Poniatowskiego

29) (Ciąg dalszy.)

Często na myśl mu przychodziło: a nuż panienka się rozchoruje? a nuż wracającą o wieczornym zmroku spotka pijany jaki żołnierz i nieprzyjemności i strachu ją nabawi? Na samą tę myśl stary miewał ciężkie skrupuły i już postanawiał sobie, że na podobne samotne wycieczki dalej nie pozwoli i wszystko doniesie starszej pani. Skoro jednak dziewczę uszczęśliwione spełnieniem obowiązku, przybiegało z powrotem do niego, skoro na gderanie jego swobodnym odpowiadała tonem i dziękując za powolność, z pieszczotą po twarzy go głaskała, stary znowu postanowienie swe odkładał na później, a gniewy jego pierzchały, jako mgły jesienne przed pogodnymi promieniami jasnego słońca.

I teraz więc Ewunia przestraszona zbytniem opóźnieniem, pospiesznie pobiegła do czekającego na nią powozu, kiedy przechodząc z obszernego placu na uliczkę ujrzała jakiegoś oficera z zawoławszy na niego po imieniu postanowiła wybadać przyczynę troski.



M Nowińska **Studyum.**

rozpaczliwą postawą, opartego o pień starej lipy. Na wszelkie cierpienia miała ona zawsze serce otwarte, a tu zwłaszcza wydało się jej, że ten ktoś nie jest jej nieznanym, a tem mniej obojętnym.

Od pierwszej bowiem chwili domyślała się w nim Szumlańskiego, a lubo czoło miał dłonią przysłonięte, jednak po uniformie, w jakim go widziała w czasie dziennej parady, a jeszcze wiecej po wąsach i po szramie na policzku przekonała się, że się nie myli.

Dlatego, powstrzymując wewnętrzne drżenie, jakie się jej udzieliło w tej chwili, tudzież zapomniawszy o wszystkiem, a myśląc jedynie, że majora dotknąć mogło jakieś nieszczęście, przemogła dziewiczą swą nieśmiałość i

Szumlański poznawszy Ewunię, nie mogąc wyjść z podziwienia, badał dalej, mówiąc:

— Jakto? Waszmość panna żołnierzy na śmierć dysponujesz, i w takiej późnej porze nie obawiasz się sama przebiegać zamiejskie pustkowia?

— Cóż nadzwyczajnego? — odparła z naturalnym uśmiechem. — Mniejsze to chyba ryzyko, aniżeli iść na kule i miecze. Ale nie o tem mowa — dodała. — Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby mi się tak tylko udało, ale w pierwszej chwili, widząc pana samotnego pod drzewem i słysząc nawet coś, jakby jęk i szlochanie, przestraszyłam się, czy waszmości jakie ciężkie nieszczęście nie spotkało. O, na miłość Boga, powiedz mi pan coprędzej, że się omyliłam.

Słowa te proste szły widocznie ze serca, i takim współczującym tonem były wymówione, że Szumlański, lubo skargę uważał za dziecinną miękkość, niegodną żołnierza, nie mógł powstrzymać się od głębokiego westchnienia i, nie władając wcale nad swą samowiedzą, wyrzekł z rozpaczliwym gestem:

—Och! tak, pani — straszne, okropne nieszczęście! Nieszczęście, jakiemu

równego nigdzie już chyba nie bywa pod słońcem.

— Przez Bóg żywy, cóż to takiego? — zawołała przestraszona dziewczyna, i niespokojna zbliżyła się do niego tak, że mimo zmroku wieczornego oczy jej utonęły w nim, a w wejrzeniu było tyle rzeczywistego współczucia, że Szumlański, który teraz, rozważywszy chłodniej pozycyę, chętnieby się przed wyznaniami cofnął, nie wiedział, co czynić, i spuściwszy oczy, milczał niepewny.

Ewunia jednak tak łatwo za wygranę nie dała, owszem, przysunęła się jeszcze o krok bliżej, i w ciepłe swe dłonie ujęła chłodną rękę majora.

— Czy nie wierzysz pan temu — mówiła prędko — że jeśli kiedy żołnierz za sprawę naszą walczący, jest dla mnie świętym, toć pan do przyjaźni mojej wyjątkowe masz prawo, nietylko bowiem należysz do rzędu najwaleczniejszych, ale zanim boje się rozpoczęły, w rozmowach swoich odkrywałeś mi światy, wśród których skrzydła nadziei wyrastały w ramionach moich.

Głos jej był taki szczery, uściśnienie rączki takie serdeczne i ciepłe, że trudno było jej słowom nie uwierzyć i w Szumlańskim, niby trawka, dobywająca się z pod długo leżących na niej śniegów, kiełkować zaczęła sympatya, jaką zawsze posiadał w głębi duszy dla szlachetnego dziewczęcia.

Mimo to wszakże milczał jeszcze, i dziwił się przeznaczeniu, które zesłało mu na pierwszą powiernicę bolów ową Ewunię, o której tak często wspominała pani Tyszkiewiczowa.

— No, mówże pan, o co chodzi? — rzekła ona znowu niecierpliwie. — Mów jeżeli masz trochę przyjaźni dla mnie.

— Choć wiem, że serce twoje, pani — zaczął on głosem stłumionym — litościwe i do współczucia skłonne, jednakże są zapewne cierpienia, które dotychczas Bóg dobry usuwał od serca twego. Przed ogniem namiętności sama świętość musiała cię zasłaniać, i nie wiesz zapewne i obyś nigdy nie wiedziała, co to jest kochać i być zawiedzionym w tem ogromnem, niezmierzonem, nie mającem granic uczuciu.

Dziewczyna drgnęła, rękę Szumlańskiego mimowolnie puściła i zaledwie dosłyszanym głosem wyszeptała:

— Pana ta, w której zaufanie położyłeś zawiodła?

— Och, panno Ewo — zawołał on, załamując ręce i, nie umiejąc już panować nad sobą — byłbym na miłość kraju swojego, na prochy ojców, na wszystko, co mi drogie i święte, przysiągł, że w kobiecie tej sama prawda i szczerość, że mnie nigdy ze szczytu, na który mnie podniosła, nie strąci, że w niej będę miał patronkę skuteczną wszystkich czynów swoich, i że kiedy lepsza jutrzenka narodowi naszemu zaświeci, z dłonią jej w swej ręce, przejdę resztę mozolnego żywota. A jednak ona mnie zdradziła strasznie, haniebnie, fatalnie! Napróżno ludzie ostrzegali zewsząd, żeby jej nie wierzyć, napróżno przed oczy mi kładli wyraźne dowody jej wiarolomstwa. Ja byłem ślepy, ja byłem głupi, — och, jak strasznie głupi!

Z wściekłością kilka kroków naprzód poskoczył i z rozpaczą głową potrząsnął.

Ponieważ Ewunia aż nadto dobrze wiedziała o co tutaj i o kogo chodzi, nie potrzebowała więc dalej się wypytywać a u każdej kobiety kochającej na jej miejscu błysnąłby zapewne w duszy promyk nadziei, rozświecający cienie rozpaczy, smutku i zwątpienia, jakie tu już zaległy od dość dawna.

Serce jej wszakże było do tego stopnia anielskie i współczujące, że zamiast poddawać się nadziejom, widziała jedynie przed sobą człowieka cierpiącego, cierpienie jego pojmowała w całej pełni, i życieby swoje oddała, aby tylko jakkąkolwiek przynieść mu pociechę.

Dlatego, kiedy Szumlański zachowaniem swojem dowodził najwyższej rozpaczy, ona podeszła ku niemu, położyła na ramieniu jego drobną swą rączkę, i głosem słodkim, melodyjnym i jakby łez pełnym mówiła:

— Niech pan będzie pewny, że cierpienia podobne w całej pełni odczuwać mogę, choć nie jest to czas zapewne do spowiedzi wzajemnej. Wszakże na słowo bądź pan łaskaw mi wierzyć, że ja uległam bolowi takiemu już w pierwszych latach swojej młodości. A jednak, chociaż zamknął on mi całą przyszłość i serce na wieki rozerwał, nie poddałam się całkowicie....

Szumlański wstrząsnął rozpaczliwie głową, zapewne nawet słów jej nie słysząc i machnąwszy rękoma tak, jakby już wszystko dla niego na świecie było skończone, rzekł niby do własnych myśli:

— Tak — nie masz ratunku! Po przejściach podobnych nie powstaje się; łamią one człowieka zupełnie i jedyną w takich razach ucieczką jest grób, jest nicość, jest śmierć...

Przy tych słowach, jakby nie wiedział, że nie znajduje się tutaj sam, w gwałtownym ruchu odrzucił daszek kasku swego na tył głowy, czoło zmarszczył strasznie, a oczy okrągło otwarte tak mu świeciły złowieszczo, że aż biedna Ewunia przestraszyła się mocno. Kobieta jednak, gotowa do poświęcenia, nie cofa się nigdy przed strachem, a cóż dopiero, jeżeli przedmiotem jej współczucia jest ktoś, dla którego całą istność swą gotowaby oddać. Toć też i teraz, chociaż ta rozpacz nadzwyczajna i ten straszny wyraz twarzy przejmowały ją zgrozą, daleką była od tego, żeby go samego zostawić na pastwę strapienia, lecz chwytając go powtórnie za dłoń, poczęła gorączkowo mówić:

— Panie mój, śmierci pożądasz, a czyż mówiąc tak, nie grzeszysz ciężko przeciw obowiązkom i przeciw potrzebom kraju, jakim dzisiaj każdy mąż zadosyć uczynić powinien? Gdybym miała prawo do robienia uwag, powiedziałabym ci może, żeś uczucie swe zwrócił w niewłaściwą stronę. Ale nie o tem mowa. .To, co się stało, zapewne że źle się stało, ale odwrócić tego już nie podobna. Czy jednak w położeniu podobnem, wolno rozpaczać, czy wolno energię swą targać i o grobie jako o jedynej ucieczce marzyć? Panie majorze, jam słaba niewiasta, a na rzeczy te zapatruje się inaczej. Należy ból poskromić, należy zęby zaciąć cierpliwie, a iść tam, gdzie obowiązek woła...

Szumlański dopiero ku końcowi na słowa jej zważać począł, a lubo trzeźwiły go treścią swoją, jednak przeważał w nim pewien ból wewnętrzny, który serce jego rwał na strzępy.

Jak dziecko krnąbrne, opierając się zdrowszej, godniejszej męża myśli, odparł złamanym głosem:

— Alboż jest balsam na świecie, któryby zdołał zgoić rany takie?

— Jest — odpowiedziała z uczuciem pewności dziewica — a balsamem tym nie jest nic innego, jak „miłość". Lud nasz przecie powiada, że klin klinem wybijać potrzeba.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się dziko Szumlański. — Po znanej mi szlachetności pani sądziłem, że mi podasz inną skuteczniejszą radę. Będąc złamany miłością, chcesz, abym miłością się leczył? Czyż myślisz, że inne kobiety są lepsze od tej, którą w zaślepieniu uważałem za szczyt doskonałości? Cha, cha, cha!

— Nie bluźnij pan! — odparła mu uroczyście i stanowczo zarazem. — Kto ci powiedział, że radą moją jest, abyś innej kobiecie zranione serce twe oddawał? Po nad miłość kobiety jest inna, wyższa, świętsza i skutecznie wszystkie rany i dolegliwości lecząca...

— A miłość ta? — zapytał major z gorzką ironią.

— Miłość kraju — odparła dziewica wzruszona i tak majestatyczna, że wydawała się jakby nadziemskie zjawisko.

Słowa te wróciły mu widocznie przytomność, bo wpatrzył się w mówiącą, przetarł dłonią czoło, złożył ręce, jak do modlitwy i chciał osunąć się na kolana.

Przeczuła to Ewunia i szybkim ruchem ręki powstrzymała go.

Jednocześnie rozległ się cichy, jakby szeptem wypowiedziany głos:

— Panienko!

Ewa głos ten poznała, domyśliła się, że to stary Jakób, zaniepokojony jej dłu ą nieobecnością, wzywa ją, i uważała za stosowne coprędzej do niego pospieszyć, aby jej nie widział rozmawiającej z Szumlańskim.

Dziwna rzecz: intencye jej były czyste, jednak lękała się oka ludzkiego.

— Daj mi pan słowo, że te wyrazy moje rozważysz, że o pozbawieniu się życia nie będziesz myślał.

— Słowo? — odparł on. — Dziwne żądanie! W rodzinie, w której mnie wychowano, samobójstwo zawsze było poczytane za ciężki grzech. Zresztą pocóż samemu sobie śmierć zadawać, kiedy ona teraz czeka żołnierza na polu walki?

— Kiedy tak, to dobrze — odrzekła na to dziewczyna, a mam w Bogu nadzieję, że dla pomówienia o tych serdecznych — chciała powiedzieć *naszych,* ale poprawiła się — *pańskich* bolach, spotkać się jeszcze będziemy mieli sposobność.

On w tych słowach pociechy czuł taki zasób serca i taki balsam kojący, jakiegoby nie znalazł wśród największych swoich przyjaciół, chciał więc pozostać z nią jak najdłużej, ale kiedy uczuł, że rączka jej z dłoni jego się wysunęła i kiedy spojrzał przed się, aby ją odszukać, już jej nie było, tylko w dali ginęła jej wiotka postać.

Rzucił się w tym kierunku, aby ją zatrzymać, ale cień nocy stanął na zawadzie i kiedy się chwilę zatrzymał, aby się w położeniu swem zoryentować, usłyszał tylko turkot kół powozu, który się oddalał w stronę miasta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Myśli i zdania.

Ostygłe pogaństwo nie przestaje gnębić życia chrześcijańskiego; ale to życie weźmie nakoniec górę.

* * *

Akt pokory wewnętrznej jest koniecznym warunkiem postępu.

* * *

Siła rodzi się tylko z bólu.

Do sprzedawczyń!

„Śmierć tym, co wroga wpuszczą na mury!„
Tak głos Chrzanowskiej zabrzmiał przed laty,
A dziś? Wy, ojców szlachetnych córy,
Zaprzedajecie wieś swą i chaty!
I pójdą kmiotki z ziemi wyzuci,
Bo się tam obce rozsiądzie plemię,
A wam: „Kainy“ w trzarz każdy rzuci,
Boście zabiły ludzi i ziemię!
Ziemię, tę matkę, co was karmiła,

F

Gdzieście najpierwsze stawiały kroki!
Duszę niech zgryzot oblegnie siła,
Sercem niech wyrzut szarpnie głęboki!
Niechaj kamieniem sumienia cięży,
Jak uciśnionych kmiotków-współbraci
I szereg przodków, szlachetnych męży,
Niech wam przekleństwem z za grobu płaci!

* * *

„Śmierć tym co wroga wpuszczą na mury!“
Wyrok ustami kobiety dany,
Ale wy żyjcie wyrodne córy
Zdala od ziemi, biednej, sprzedanej!
Żyjcie, lecz życia każda godzina
Niechaj moralną śmiercią wam będzie,
Niech wam w pamięci tkwi wasza wina
I niech was goni zawsze i wszędzie!
Panięć niech echem w myśli odtwarza
Szum waszych lasów, kłosów pokłony,
Szmer każdy-„biada“ niech wam powtarza
Śląc pozdrowieniem ziemi zdradzonej!
Niech tych nabytych wrogich pieniędzy,
Nie przyjmie nigdy żaden cel święty
A pogardzone dojdźcie do nędzy,
Bo pieniądz taki stokroć przeklęty!

Wielkopolanka.

Poznań, d. 16. 1. 06.

Rudyard Kipling.

Na cmentarzu żywych.

2) (Ciąg dalszy.)

Gniew zaczynał mnie ogarniać nie na żarty; druga jednak kula przypomniała mi, że praktyczniej będzie zachować jeszcze kilka tchnień, bodajby dla studzenia gorącej zupy na talerzu — niż zginąć marnie narażając się na tak oczywiste niebezpieczeństwo; śpiesznie więc cofnąłem się wstecz przez piaski, w głąb krateru, gdzie zgromadziło się już około siedmdziesiąt istot

ludzkich, wywabionych z kryjówek hukiem wystrzału...

Znalazłem się wobec całej bandy widzów, pomiędzy którymi było ze czterdziestu mężczyzn, ze trzydzieści kobiet i jedno dziecko kilkoletnie. Wszyscy byli zupełnie nadzy i na pierwszy rzut oka sprawiali wrażenie gromady wstrętnych, wynędzniałych i poleczonych fakirów.

Niepodobna opisać dokładnie nie- [illegible]

Wśród [illegible] gdy zaczynało mnie ogarniać przykre uczucie wstydu, że tak łatwo dałem się unieść zapalczywości, nie starając się zapanować nad złym humorem, usłyszałem nagle za sobą głos jakiś cienki i ostry, który zapiszczał mi nad uchem po angielsku: — Sahib, sahib!... czy sahib mnie nie poznaje?... Jestem Gungo Dass, telegrafista!...

Odwróciłem się szybko w stronę mówiącego. Cztery lata temu znałem rzeczywiście człowieka tegoż nazwiska. Brudny nędzarz jednakże, na którego patrzyłem obecnie, zupełnie go nie przypominał... Tamten, którego znałem, Gunga Dass, był to bramin z Dekanu, wydelegowany przez zarząd Pendżabu do jednego ze stanów Kalsyi. Powierzono mu tam drugorzędne biuro telegraficzne. Pamiętałem go wybornie jako jowialnego, brzuchatego urzędnika, odznaczającego się postawą okazałą i posiadającego szczególną zdolność tworzenia na poczekaniu dowcipnych i złośliwych kalemburów w języku angielskim, któremi zwykle [illegible] rozmowę. [illegible] żywa- [illegible]

[illegible] ch.

[illegible] apa- [illegible] lnie- [illegible] niż [illegible] niepo- [illegible] vodna [illegible] k i jowialny sposób wyrażania się, znikły bez śladu. Miałem przed oczyma zwiędły, suchy szkielet, nagi, z długiemi włosami, pozlepianemi w brudne, potargane kosmyki; zapadłe jego oczy podobne były zupełnie do oczu stokfisza.

Gdyby nie szrama na lewym policzku, w kształcie półksiężyca, za którą odpowiedzialność obciążała cokolwiek moje sumienie, niepodobna byłoby go poznać.

Jednakże był to niewątpliwie Gungo Dass, za co byłem gorąco wdzięczny niebu; Gungo Dass, jako krajowiec mówiący po angielsku, zdoła mi przynajmniej wytłomaczyć to wszystko, co mnie tu spotyka... Tłum usunął się na pewną odległość, a ja zwróciłem się do nędznej karykatury dawnego Gunga Dass, z rozkazem wskazania mi jakiegokolwiek sposobu wydobycia się z tego przeklętego krateru. Ex-bramin i telegrafista trzymał w ręku świeżo oskubaną wronę i w odpowiedzi na mój rozkaz, zatoczył zwolna nogą krąg na piasku i zabrał się w milczeniu do rozpalenia w nim ogniska.

Suchy perz, zwiędłe łodygi maku i kruche gałązki, podpalone zwykłą, siarczaną zapałką, zajęły się szybko. Widok zapałek w rękach Gunga dodał mi nieco otuchy.

Na rozżarzonem ognisku Gungo Dass ulokował odpowiednio przygotowaną wronę, poczem zaczął w te słowa:

— Są dwa rodzaje ludzi, sahib, żywi — i umarli... Kto raz umarł — ten już nie żyje.

Wrona, która się piekła na ogniu i kurczyła tak niemiłosiernie, że aż zagrażało jej niebezpieczeństwo przeobrażenia się w węgiel — zwróciła na siebie całą uwagę mówcy. Po małej pauzie ciągnął dalej:

— Jeżeli umrzesz wśród swoich, spalą cię na stosie. Jeżeli zaś przed spaleniem okaże się, że jeszcze nie umarłeś — wtedy — dostajesz się tutaj.

Zrozumiałem...

Wszystko co najokropniejszego, najdziwaczniejszego kiedykolwiek słyszałem lub czytałem, zbladło wobec tego, czego dowiedziałem się w tej chwili...

Przed szesnastu laty, wylądowawszy po raz pierwszy z Bombaju, słyszałem z ust pewnego włóczęgi Armeńczyka o istnieniu „cmentarza żywych,“ gdzie lokowano pod strażą krajowców, którzy mieli nieszczęście obudzić się z letargu przed spaleniem na stosie. Śmiałem się wówczas serdecznie z tego opowiadania, uważając je za anegdotę, zmyśloną dla rozweselania podróżnych. Teraz przekonałem się naocznie, choć wbrew mojej woli, że opowiadanie to było prawdą.

Gungo Dass zdjął uroczyście wronę z rożna i, również uroczyście, zaczął ją pożerać... Zaspokoiwszy apetyt, ciągnął dalej swoje opowiadanie:

— Podczas cholery wloką cię zwykle na stos, zanim zdążysz wyzionąć ducha. Zdarza się niekiedy, że świeże powietrze nad brzegiem rzeki cię orzeźwia. Wtedy — jeżeli jesteś odrobinę tylko żywy — pakują ci w usta i w nos błoto, od czego musisz umrzeć. Jeżeli jesteś więcej żywy — kładą ci w usta więcej błota. Jeżeli jednak jesteś za-

nadto żywy, wtedy dają ci spokój i przenoszą cię gdzieindziej... Ja byłem zanadto żywy, więc protestowałem z gniewem i z oburzeniem przeciwko niegodziwościom, jakiemi usiłowano mię dobić. Prócz tego byłem przecież dumnym braminem. Teraz jestem człowiekiem umarłym i muszę się żywić wronami! — spojrzał z goryczą na szkielet ptaka dokładnie z mięsa oczyszczony. Po raz pierwszy od chwili naszego spotkania zauważyłem w nim silne wzruszenie.

— Wyjęto mnie z całunów śmiertelnych, gdy się przekonano, że jestem zanadto żywy. — Później — przez tydzień dawano mi lekarstwa. Wyzdrowiałem szczęśliwie. Wtedy jednak wysłano mnie do stacyi Okara, z człowiekiem, którego obowiązkiem było pilnie mię dozorować. W Okara oczekiwało już na nas, również pod strażą, dwóch ludzi. Razem z nimi posadzono mnie na grzbiecie wielbłąda i odstawiono w nocy w to miejsce nieszczęsne... Pchnięty nagle i gwałtownie stoczyłem się z góry aż na dno tej ohydnej przepaści. W ślad za mną stoczyli się i dwaj moi towarzysze niedoli... Od tej chwili żyję tu wciąż już od półtrzecia roku... Niegdyś byłem dumnym, wzniosłym braminem. Teraz... jadam wrony!...

— A czy niema jakiego sposobu wydobycia się z tej przeklętej dziury? — zapytałem.

— Niestety... niema żadnego... Dawniej... wkrótce po dostaniu się w to okropne miejsce, próbowałem wydobyć się na swobodę, zawsze jednak napróżno. Zawsze musiałem uledz — uznać się za zwyciężonego przez ten piasek ohydny, który osuwa się na głowę, zasypując usta i oczy, i odejmując wszelką nadzieję ucieczki.

Zamyśliłem się głęboko. Przecież od strony rzeki droga oswobodzenia się jest otwarta, nie zagrodzona ścianami piasku. Warto sprobować i przedrzeć się przez kule. Nie wydaje się to zbyt trudnem, szczególniej w nocy. W jednej chwili osnułem plan wydobycia się z niewoli, właściwy jednak naturze ludzkiej instynkt egoizmu nie dozwolił mi podzielić się tym planem z braminem. On jednakże odgadł myśl moją tajemną i ku mojemu głębokiemu zdumieniu, roześmiał się szyderczo i pogardliwie.

— Tą drogą nigdy nie zdołasz się ocalić. Możesz jednak sprobować... Ja probowałem także... raz tylko...

Uczucie niepojętej grozy i przerażenia owładnęło mną zupełnie. Napół obłąkany rzuciłem się rozpaczliwie na niewzruszone ściany piasku... biegałem do około krateru jak szalony, bluźniąc i modląc się naprzemian.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pożywienie człowieka

w świetle statystyki.

Największe arcydzieło natury — człowiek — podlega zużyciu tak samo, jak wszystko na świecie, gdyż ciało człowieka nie jest niczem więcej, jak tylko machiną, wypowiadającą posłuszeństwo, jeżeli zabraknie oleju. Za każdem naszem pożywieniem, zużytkowujemy pewną część siły życiowej, której właściwe istnienie zawdzięczamy przyjmowaniu stosownych pokarmów i napojów. To też sprawa kulinarna, czyli kwestya żołądka naszego była zawsze na porządku dziennym od początku świata, żaden zatem inny temat nie budzi dla nas tak wielkiego zainteresowania, jak sprawa naszego pożywienia. Możliwość wyczerpania naszych źródeł pożywienia działa już obecnie na nas tak, jak straszne widmo, atoli są to tylko, że tak powiemy, „strachy na Lachy'', bo pożywienia nam nigdy nie zabraknie.

Badając najgłówniejsze z naszych środków pożywienia, co do zawartości pożywnej, przychodzimy do rezultatu, że podlega ona rozmaitym chwiejnościom. Tak samo ilość potrzebnego pożywienia nie jest w wszystkich latach u człowieka równą, lecz zachodzą tutaj także znaczne różnice. Według doświadczeń powag naukowych potrzebują substancyi pożywnych:

	białka	tłuszczu	wodoru węgla
	gr	gr	gr.
człowiek od 6 17 lat .	78	43	281
mężczyzna bez zatrudnienia	100	50	400
mężczyzna pracujący dziennie umiarkowanie 10 godzin	118	56	500
mężczyzna ciężko pracujący.	145	100	447
żołnierz w garnizonie .	120	56	500
żołnierz podczas manewrów	135	80	500
żołnierz podczas wojny	145	100	500
kobieta pracująca umiarkowanie	94	49	400



Nasze spotrzebowanie chleba.

Skromna porcya dzienna 500 gramów wynosi przez lat 60 okrągło 11,000 kilogramów lub też prawie 16 metrów kubicznych.

Według powyższej tabelki można w przybliżeniu obliczyć ilość pożywienia, potrzebnego do regularnego życia. W najnowszym czasie pewien Anglik zajmował się tą sprawą; jego spostrzeżenia zamieszczamy poniżej. W każdym razie nasze ryciny unaoczniają najlepiej to, co żołądek ludzki spotrzebować może.

Do najbardziej pożywnych środków człowieka należy chleb; chleba spożywa człowiek, żyjący w stosunkach umiarkowanych i mający normalny



Nasze spotrzebowanie mięsa.

Aby sobie zabezpieczyć dziennie 250 gramów wołowiny na przeciąg 60 lat (5,475 kilogramów), potrzebaby było wołu równającego się 20 wołom. Dziecko siedzące u nóg wołu, jego przyszły zjadacz, zastosowane co do wielkości zupełnie do wielkości zwierzęcia.

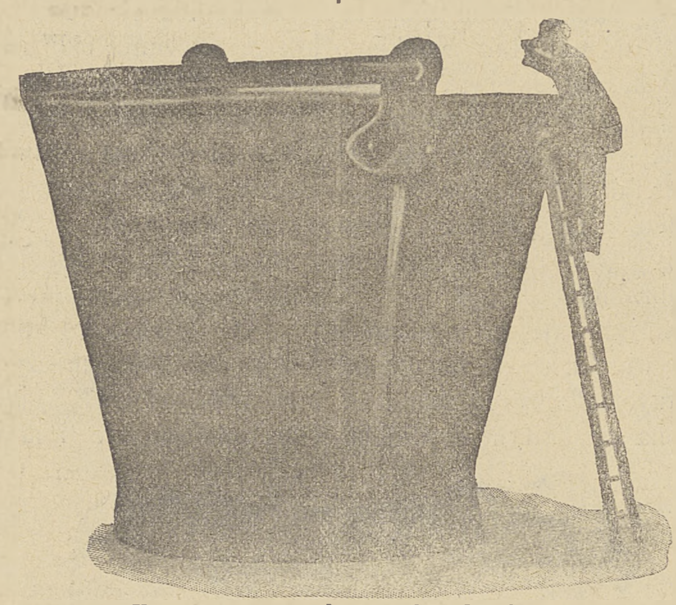
apetyt, dziennie przecięciowo 500 gramów, a przez 60 lat 11,000 kilogramów. Masa ta jest wysoką i szeroką po 2 metry, a długą 4 metry; gdyby ta masa była w środku próżną, pomieściłby się w niej mogła cała familia, gdyż próżnia wynosiłaby okrągło 15 kubicznych metrów. O obszarze tej masy możemy mieć pojęcie, skoro porównamy zamieszczoną rycinę człowieka na stronie 57-ej.



Nasze spotrzebowanie kartofli.

Olbrzymi owoc, który nam dawał dziennie 300 gramów pożywienia, ważyłby przez 60 lat 6,570 kilogramów. Patrz artykuł „Pożywienie człowieka".

Niemniej ważnem pożywieniem dla szerokich mas ludu jest kartofel, chociaż posiada o wiele mniej substancyi pożywnych, aniżeli chleb. Jeżeli człowiek zjada dziennie 300 gramów kartofli, to zje ich w przeciągu 60 lat 6,570 kilogramów.



Nasze spotrzebowanie płynów.

Codziennie pół litra płynu uczyni w przeciągu lat 60 około 32,850 litrów. Patrz artykuł „Pożywienie człowieka".

Dalej ważnym środkiem pożywienia jest mięso, którego używanie błogi wpływ wywiera na nasze zdrowie. Jeżeli człowiek zjada dziennie 350 gramów mięsa, to skonsumuje w przeciągu 60 lat 5,500 kilogramów. Wołu tak ciężkiego uznanoby ze zdumieniem za zwierzę zagadkowe, a pokrajanym w kawałki możnaby pokryć przestrzeń, długości 4 metrów kubicznych.

Spotrzebowanie 2,200 kilogramów owoców i takiej ilości jarzyn jest także znacznem, jednakże przewyższa je użycie soli, które w przeciągu lat 60 osięga wagę dziesięć razy większą od wagi człowieka.

Nie wielu z naszych współbraci należy niestety do bractw wstrzemięźliwości, chociaż pijaństwo to najgorszy rak, toczący nasze biedne społeczeństwo. Jeżeli wypijamy codziennie trunków gorących mniej więcej 1,5 litra, to wypijemy ich w przeciągu 60 lat olbrzymią ilość, wynoszącą 32,850 litrów.

Cygara, które wypalamy, tworzą przez lat 50 ciężar, wynoszący 275 kilogramów; ciężaru takiego jedna siła ludzka nie mogłaby ruszyć z miejsca.

Ogólne pożywienie człowieka oblicza wyżej wzmiankowany statystyk angielski, P. N. Everett, dziennie, jak następuje: 675 gramów chleba, 450 gramów mięsa, 275 gramów ryby, 900 gramów owoców i jarzyn, razem dziennie 2,250 kilogramów, nadto 1,8 litra gorących napojów. Tym sposobem zjada człowiek przez 60 lat 1230 razy siebie samego. Karzeł pożera olbrzyma- .....*ski.*

Jubileusz smutnej królowej.

„Smutek stał u mojej kolebki, smutek był mi wiernym towarzyszem życia, smutek spływa na świat z dzieł moich" — może powiedzieć o sobie królowa Elżbieta rumuńska, której 25 letni jubileusz, jako Carmen Sylvy, znanej we wszystkich językach autorki, obchodzić będzie w roku 1906 świat literacki...

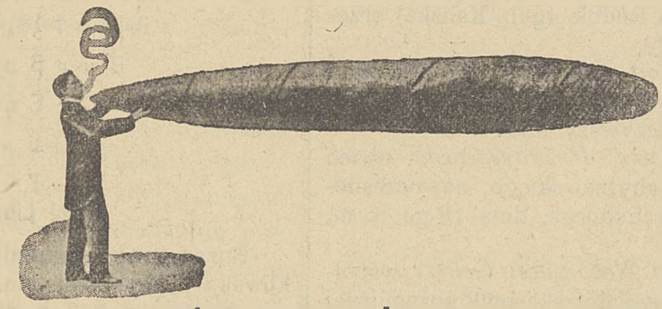
Urodzona w roku 1843 dnia 29 grudnia z niemieckiego domu książęcego Wied, którego państewko zostało podzielone przez kongres wiedeński pomiędzy Prusy i księztwo nassauskie, od dzieciństwa wzrastała w ponurej i zgryźliwej atmosferze podupadłych rodzin, które wobec niedostatku, tem zazdrośniej strzegą pozorów swego dostojeństwa i starają się utrzymać na dawnym stopniu społecznym i towarzyskim.

Torturowana przez wymagające, a brutalne guwernantki, księżniczka Elżbieta miała jedyną rozrywkę: naukę, a jedyne chwile odpoczynku, posiłek przy wspólnym stole rodzinnym, przy którym dzieciom wolno było tylko milczeć. Chora z natury, a bardzo wrażliwa, księżniczka już w trzynastym roku życia pod kierunkiem swego ojca poczęła się zaznajamiać z tajnikami.... metafizyki niemieckiej, a jedyną powieścią, przeczytaną przez nią przed dwudziestym rokiem życia, była powieść dziecinna Mrs. Wetherell p. t. „Szeroki świat", na której się nauczyła po angielsku...

To wszystko jednak nie osłabiło, ale raczej wzmocniło wrażliwość wątłego dziecka, które mając zaledwie lat dziesięć, zaczęło już pisać pierwsze wiersze, pod wpływem zachwytu, jaki w nim wywołały malownicze wybrzeża Renu.

Księżniczka Elżbieta miała dar łatwego uczenia się języków: prócz ojczystego języka niemieckiego, nauczyła się władać językiem francuskim, angielskim, włoskim, a prawie bawiąc się, posiadła później znajomość języków: rumuńskiego, szwedzkiego i rosyjskiego.

jest przedewszystkiem jako poetka. Jej poezye napisane po niemiecku, z wyjątkiem jednego zbiorku w języku angielskim, tworzą obecnie zbiorek dwudziestu tomików, z których najbardziej znane są „Safo", „Czarownica", „Pieśń rzemieślnika", „Pieśni morskie" itd. Literat rumuński p.



Cygaro wypalone przez palacza, przez lat 50.

15 gra..ów dziennie (2 cygara) utworzy przez lat 5.) ciężar wielki wobec lekkosci liścia tabacznego, wynoszący 275 kilogramów.

Patrz artykuł „Pożywienie człowieka".

M..dość jej zaciemniły, prócz surow..o systemu wychowawczego, ustawiczne choroby i śmierć brata, a liczne podróże, jakie z rodziną odbywała, nie mogły rozjaśnić mgły tej, gdyż były to podróże... w poszukiwaniu lekarzy!

Dwudziestoletnia księżniczka poznała się wreszcie z ks. Karolem Hohenzollernem, który powołany z..tał w r. 1866 na tron rumuński, a w trzy lata później poślubił ją w Neuwied 13 listopada 1869.

Młoda królowa, podbiła rychło serca w nowej ojczyźnie, ale wnet ból nowy, a głębszy od dotychczasowych wzmieszał się w jej życie, w r. 1870 przyszła na świat córeczka, która w półczwarta roku później umarła i odtąd nad życiem Carmen Sylvy rozciągnął się gęsty welon tęsknot bezdzietnej kobiety. Wkrótce potem królowa została tknięta atakiem paralitycznym, który ją skazał na spoczynek bezwzględny podczas całej zimy roku 1875. Później przyszły wypadki roku 1877, wojna rosyjsko-turecka, w której Rumunia musiała wziąć udział. Książę Karol został naczelnym wodzem wojsk sprzymierzonych, a księżniczka Elżbieta wzięła na ten czas rolę siostry miłosierdzia, organizowała szpitale i spędzała dnie, dopilnowując pielęgnowania chorych i rannych. Po wojnie Rumunia z księztwa stała się królestwem, a król Edward i królowa Elżbieta odbyli koronacyę w r. 1881.

Odtąd królowa przebywała z zamiłowaniem przedewszystkiem w Synaji w zamku Pelsz, zbudowanym w r. 1875 w lesistej dolinie karpackiej i tu Carmen Sylva napisała większość swoich utworów, które ją uczyniły popularną autorką nietylko w Niemczech, ale też w innych krajach europejskich.

W Niemczech Carmen Sylva znana

Bengesco, autor książki „Carmen Sylva intime" wydanej obecnie w Paryżu właśnie ze względu na blizki jubileusz królowej, starał się w niej zaznajomić publiczność francuską i z tą stroną literackiej działalności Carmen Sylvy, która we Francyi jest bardzo znaną i popularną jako nowelistka i powieściopisarka. Najbardziej wzięta z jej książek p. t. „Myśli pewnej królowej", otrzymała nawet doroczne najwyższe odznaczenie w literaturze francuskiej, mianowicie nagrodę Akademii francuskiej. Carmen Sylva przysłużyła się też literaturze francuskiej, której jest gorącą wielbicielką, także tłumaczeniami. Przełożyła więc na język niemiecki „Rybaka islandzkiego" Lotiego i „Dwie maski" Paul de Saint-Victor'a. Z pod jej pióra wyszedł też artykuł p. t. „Bukareszt" w wydanem przez księgarnię Huchetta dziele: „Stolica świata" i znaczna liczba artykułów w dziennikach i „Przeglądach" paryskich. Nadto na język francuski tłumaczono jej prozaiczne pisma niemieckie jak „Opowieści z Pelszu", „Nowele", Kto puka?", „Romans księżniczki", „Marya", „Czerwony buk" i inne.

Ale Carmen Sylva, znana w Europie, jako literatka i posiadająca doktoraty zagraniczne, tytuły i wszelkie honory literackie, w Rumunii równie, a może jeszcze więcej jest znaną wskutek swej dobroczynności i działalności społecznej. Od wstąpienia na tron, zajmuje się sprawą intelektualnego i moralnego podniesienia kobiety rumuńskiej i żeńskiemi szkołami zawodowemi. Założyła też wiele towarzystw dobroczynnych, jak „Regina Elisabeta — instytut sióstr miłosierdzia" w Bukareszcie, „Poliklinika Elżbiety", żłobek „Leaganul Sfinta Ecaterina" (Kolebka imienia Katarzyny), dalej „Materna", „Paina zilnica" (Chleb codzienny), „Tibishoi", stowarzyszenie opieki nad dziećmi opuszczonemi, „Szpital Elżbiety" w Gałacu, „Obolul" i wiele, wiele innych.

Starając się podnieść smak i wyrób haftów rumuńskich. pełnych oryginalności i stworzyć nowe źródło zarobku dla biednych kobiet, królowa stworzyła stowarzyszenia współdzielcze jak „Concordia", „Szkoła Elżbiety" a przedewszystkiem „Furnica" (Mrówka), „Munea" (Praca), i „Albina" (Pszczoła), skąd wychodzą hafty, poszukiwane przez krawców wiedeńskich, paryskich i londyńskich.

To jest krótkie strzeszczenie wizerunku królowej jubilatki, jaki się plastycznie uwypukla we wspomnianem dziele p. Bangesco. Gdyby nawet połowę z tego, co autor napisał policzyć na karb pochlebstwa dworskiego, to jeszcze bohaterka tego dzieła miałaby prawo powiedzieć: „Zaciężyła mi korona bardziej niż innym, ale też godniejszą jej byłam niż ktokolwiek inny."

D. („S. P.")

Nasza ofiarność.

Złożyli do dnia 22-go b. m. włącznie:

Na Macierz Szkolną w Królestwie
p. M. Chmielecki z Grabówka w Prusach Zachodnich 5 mrk.
Dotychczas złożono razem 272 mrk 90 fen.

Na Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego
a) dla chłopców
b) dla dziewcząt
Dotychczas złożono razem dla dziewcząt 10 mrk.

Na Czytelnie Ludowe złożono dotychczas 1 mrk.

Na „Straż" p. M. Chmielecki z Grabówka w Prusach Zachodnich 2 mrk. Dotychczas złożono razem 4 mrk.

Na stacyą kolonii wakac. „Stella"

Na „Gniazdo"-budowę sali „Sokoła" w Poznaniu

Na elementarze dla biednych dzieci — złożono dotychczas razem 10 mrk 50 fen.

Na rodzinę Jana Wyciska — dotychczas wpłynęło 85 mrk 15 fen. Z tej sumy wysłaliśmy dnia 22-go z. m. dla pani Wyciskowej 74 mk 65 fen; pozostaje mrk 10 fen. 50.

Na Weteranów
z roku 1848-go
„ 1863-go
p. M. Chmielecki z Grabówka w Prusach Zachodnich 1 mrk.
Razem wpłynęło dotychczas 73 mrk 77 fen.
Z tej sumy wysłaliśmy komu należy 48 mrk 20 fen; pozostaje mrk 18,95 fen.

Na rodziny skazańców w Gliwicach
p. M. Chmielecki z Grabówka w Prusach Zachodnich 2 mrk.
Wpłynęło dotychczas razem 12 mrk.

Na budowę kościoła w Żninie

Na odnowienie Wawelu w Krakowie
p. M. Chmielecki z Grabówka w Prusach Zachodnich 2 mrk.

Na głodnych w Królestwie p M. Chmielecki z Grabówka w Prusach Zachodnich 5 marek.

Razem wpłynęło dotychczas 23 mk.

Na rodzinę robotnika Karola Piotrowskiego, zamordowanego w Warszawie przez socyalistów — wpłynęło dotychczas razem 8 mrk.

Jeszcze można zaabonować

„PRACĘ"

na miesiące luty i marzec.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak też w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na luty i marzec

tylko 84 fen.

Od Nowego Roku powiększyliśmy dział powieściowy „Pracy". Odtąd dajemy, jak dawniej, osiem stron powieści.

W najbliższym numerze rozpoczniemy druk bardzo pięknego wspomnienia historycznego, napisanego przez Wincentego Migurskiego p. t.

„Dwudziestoośmioletnie wygnanie" czyli ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci."

Rzecz dzieje się podczas dwudziestoletniego wygnania na Sybirze; zdarzenie jest prawdziwe. Autor opisuje przygody swej żony, pełnej miłości i poświęcenia, posłużyć mogącej jako wzór dla Polek.

Opowiadanie jest tak zajmujące, że każdy czytać je będzie z wielkiem zaciekawieniem a tak rzewnie opisane, że wyciśnie niejednę łzę z oka czytelnika.

Kto dotąd „Pracy" nie zaabonował, a chce czytać początek **„Dwudziestoośmioletniego wygnania"** *niech zaabonuje na poczcie bezzwłocznie „Pracę" na miesiące luty i marzec r. b.*

Kwity abonamentowe pocztowe na luty i marzec zamieszczone są na pierwszej stronie pod okładką.

Nekrologia.

† S. p. *Wojciech Wyszomirski*, weteran z 1848-go roku, dnia 16-go b. m. w 93-im roku życia. Pogrzeb odbył się w Gołańczy dnia 10-go b. m.

S. p. *Wanda z Pawłowskich Pernaczyńska*, dnia 15-go b. m. w Wrocławiu. Pogrzeb odbył się w Poznaniu dnia 19-go b. m.

† S. p. *Stanisława Wawrzyniakówna*, dnia 15 go b. m. w Poznaniu w 30-tym roku życia.

† S. p. *Władysław Arndt*, dnia 16-go b. m. w Poznaniu. Pogrzeb odbył się w Gnieźnie dnia 20-go b. m.

† S. p. *Franciszek Grygier*, dnia 16-go b. m. w Poznaniu w 50-ym roku życia.

† S. p. *Władysław Więckiewicz*, dnia 18-go b. m. w Rudnie (gub. Kaliska) przeżywszy lat 63.

Ś. p. † *Józef Trzaska*, były sekretarz dyrekcyi poborowej, dnia 20-go b. m. w Poznaniu, skończywszy lat 77.

† Ś. p. *Józef Przybyszewski*, ojciec Stanisława Przybyszewskiego, nowoczesnego pisarza i dramaturga, dnia 18-go b. m. w Wągrówcu.

† Ś. p. *Jan Nepomucen Gellert*, współzałożyciel i długoletni skarbnik poznańskiej Spółki Rolników Parcelacyjnej, dnia 19-go b. m. w 43-im roku życia w Poznaniu.

Dział szaradowy.

Logogryf.

Poniższe litery przestawić, tak żeby utworzyły 17 wyrazów; środkowe litery czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znanego poety polskiego.

a a a
a a a a a
a a a a a a a
a b c c d d e e
e e e e e f g g
i i i i i i j j
j k k k k k k
l l l l l
l l ł
ł ł ł m m
m n n n n o
o o o o o p p p
p r r s s s s s
s s t t t u u u
u u u u u w w
w w w z z
z z z

1) Zaimek.
2) Produkt gospodarstwa wiejskiego.
3) Badacz części botaniki.
4) Prowincya niemiecka.
5) Miejscowość pod Ojcowem.
6) Sułtan Marokański.
7) Imię żeńskie.
8) Gatunek materyi.
9) Rzeka w Królestwie.
10) Miasto w Prusach Wschodnich.
11) Ryba.
12) Miasto w Niemczech.
13) Zwierzę.
14) Wulkan
15) Rzeka w Azyi.
16) Wyspa na oceanie Spokojnym,
17) Oznaka smutku i radości.

Rozwiązania nadsyłać należy do dnia 3-go lutego r. b. włącznie.

Rozwiązanie arytmogryfu z nr. 1 „Pracy."

K
L A k
S e R e t
B a r O c c o
L u d o L f i n a
K A R O L L I B E L T
A p o l I n a r y
B a r B a r a
G r E c y
E L a
T

Karol Libelt.

Rozwiązanie nadesłali pp. Marya Switkowska z Krakowa, Jan Badura z Roździenia, Nawrocka z Zabieżyna, Joanna Kozłowska z Stęszewa, Czesław Kornaszewski z Strzelnaa, Kostek Puknijsię z Mełpina, Józefa Skotarek z Poznania, Julianna Alejska z Stęszewa, Czesław Jagielski z Strzelewa, Wacław Jaskowski z Kościana, Frania Zielińska z Gniewkowa, Marya Pawłowska z Zakrzewa, Rajmund Buławski z Wągrówca, Helena Szafran z Poznania, Maksymilian Maliński z Poznania, Jan Tatkowski z Łąki (Gal.), Jan Brzeski z Poznania.

Nagrodę otrzymali pp. Helena Mąkowska z Egeln, Maryan Buczkowski z Poznania i Karol Swinarski z Chocieboża.

Wiadomości literackie i artystyczne.

— „Tęcza" *Miesięcznik poświęcony sztuce fotograficznej.* Treść nr. 4-go na styczeń: Fotograf amator jako nowożytny Pigmalion. — Nowy sposób fabrykowania emulsyi. — Jak osięgnąć wzorowe negatywy. (Ciąg dalszy.) — Rozmaitości: Sposób do uczulania zwykłych pocztówek i papierów listowych. — Przenoszenie pisma na negatyw. — Osłabianie bromosrebrnych papierów. — Wywoływanie obrazków na papierze celoidynowym za pomocą wywoływacza. — Powiększanie zwykłym aparatem. — Dodatek: „Poradnik" Drogeryi „Universum". — Ogłoszenia. — Cztery dodatki illustrowane.

Jak widzimy z powyżej zamieszczonej treści, artykuły zamieszczone w „Tęczy" traktują tak o dążeniach artystycznych w fotografii jak też o technice tejże.

Zeszyt ozdobiony jest wielu reprodukcyami zdjęć amatorskich i wielu rycinami.

Abonament na cały rok wynosi z przesyłką mk. 2,00. *Zamawiać należy w Drogeryi „Universum" B. Śniegocki w Poznaniu, Ulica Rycerska 38.*

Dział rolniczo-ekonomiczny.

W jaki sposób sadownictwo nasze podnieść można?

Skreślił **Ludwik Radomski** z Śremu.

(Ciąg dalszy.)

Przy poszukiwaniach za zrazkami (latorozgami do uszlachetnienia) przyszedłem do tego pewnika, że u nas w Księstwie i w Prusach Zachodnich jest jeszcze wiele swojskich pomologicznie nieznanych starych i wytrwałych a wybornych gatunków jabłek, grusz, śliwek, które są wymownymi świadkami, że nasi dziadowie daleko więcej dbali o sady, niż ich dzieci i wnuki — i dowodem, że u nas hodowla dobrych gatunków owocu jest możliwą. W niektórych sadach znajdują się jeszcze grusze i jabłonie 70—100 lat stare, silne i rozłożyste jak dęby, które najcięższe zimy i wichry przetrwały, a właścicieli jeszcze dość często pięknym obdarzają owocem. Świętym obowiązkiem naszym być powinno, gatunki te — o ile *są zdrowe* przez branie z nich zrazków i rozmnażanie nadal utrzymać — nakłania nas do tego nie tylko pietyzm do spadku po dziadach naszych ale i własna korzyść, gdyż drzewa takie, co tyle burz i ciężkich zim przetrwały, to na pewno jeszcze długo nie popadną w *„słabość starości“* i rodzić będą!

Anglia, Belgia a przedewszystkiem Francya zasypują nas formalnie corocznie nowemi gatunkami jabłek i gruszek, każąc sobie za te nowości grube płacić pieniądze. Po wypróbowaniu tych reklamami licznemi zachwalanych nowości pokazuje się zwykle, że $^2/_3$ z nich nie wiele co warte, a reszta nie dorównuje starszym. Przy znakomitej dobroci gatunków już istniejących nie łatwem wyhodować dziś coś nadzwyczajnego, przyczem uwzględniać trzeba jeszcze i to, że wiele dobrych gatunków, mianowicie francuskich, dla naszego ostrego klimatu się nie nadaje. Zamiast więc tracić pieniądze na niepewne i miękkie gatunki zagraniczne, z których pociechy nie będzie — wyszukujmy i rozpowszechniajmy dobre gatunki tu wyrosłe lub też już aklimatyzowane, a zbierzemy wybór dla naszej prowincyi, jakiego nam sąsiedzi pozazdrościć będą mogli. Że to co piszę, nie są żadne niewykonalne mrzonki nie trudno dowieść. Jak wyżej wspomniałem, napotkać można w starych większych sadach dominialnych, proboszczowskich, szkólnych, poklasztornych, a nawet i gospodarskich między setkami lichych gatunków owocu, odmiany pierwszorzędnej wartości, które z czasem wyginą, jeśli się nie weźmiemy za wczasu do utrzymania tychże przez pozyskanie zrazków i uszlachetnienie niemi dziczków lub podrzędnych gatunków. I tak stała w sadzie pocysterskim w Palędziu kośc. p. Mogilnem grusza nie wielka, „Blanżą“ zwana, niezawodnie *odmiana* powszechnie znanej blanży *plamistej* żółto-zielonej, której owoc był *podłużny, złoto-żółty, bez najmniejszej plamy,* o smaku wybornym, zupełnie podobnym do zwyczajnej blanży. Czy ta grusza tam egzystuje dotąd, wątpić należy, ale że gatunek ten jeszcze nie wyginął, dowodzi ta okoliczność, że gruszki takie same co do formy, koloru i smaku pod nazwiskiem blanży sprzedawała na targu w Śremie jakaś olęderka z okolicy. Niezawodnie jeszcze gdzieś w sąsiedztwie ten wyśmienity wyborny gatunek rośnie i uratowaćby go od zniknięcia było można. W Niestronnie (pow. mogilnicki) stała po lewej stronie od wschodu do plebanii starej jabłoń dziwnie rosnąca z poziomo rozpostartemi gałęziami sięgającemi ziemi, rodząca średniowielkie okrągławe blado-żółte jesienne jabłuszka tak kruche i soczyste, że się na języku jak dobra gruszka rozpływały, zachęcając przytem ślicznym zapachem i smakiem wybornym. Może który z panów nauczycieli z tej okolicy poznał się na dobroci tego jabłka i zabrał zrazków i uratował ten niezaprzeczenie *najznakomitszy* gatunek jabłka, jakie kiedykolwiek w Księstwie rosło? W okolicy Brodnicy Pr. Zach. posiada nieznany właściciel sadu śliwkę, mającą owoc jasno-czerwony średniej wielkości, formą podobną do aprykozy. Smak tej śliwki tak jest wyborny i miły, że i mirabelle się z nią mierzyć nie mogą. Mimo poszukiwań po rozmaitych wielkich szkółkach, ani opisanego jabłka, ani też tej śliwki odszukać mi się nie udało. Będą to prawdopodobnie lokalne gatunki wyrosłe przypadkiem z pestek . W Manieczkach pod Śremem rośnie bardzo rychła tereśnia, wielki owoc rodząca, która osławioną niemiecką „najrychlejszą„ (Früheste von Markt) wielkością i smakiem przewyższa. W ogrodzie proboszczowskim w Powidzu ma się także znajdować parę znakomitych starodawnych odmian jabłek, które mimo starości piękny owoc rodzą i t. d.

Mógłbym jeszcze więcej sadów wymienić, gdzie bardzo stare drzewa owocowe rosną i piękny owoc rodzą, jak się sam z sprowadzonych zrazków przekonałem — z powyższego już wynika, że posiadamy starodawne na nasz klimat wytrzymałe, prawdopodobnie tu wyhodowane lub samorodne, a znakomite gatunki lubo tylko w małej liczbie, które zagranicznym w dobroci nie ustępują, a wytrwałością je przewyższają. I te gatunki koniecznie utrzymać powinniśmy, a nie będzie to zbyt trudno, jeśli się tą sprawą zajmią: Towarzystwa ogrodnicze, kółka rólnicze i lubownicy sadownictwa krajowego. Niech tylko kółka rólnicze i ogrodnicze na swych wystawach stworzą osobny dział dla owocu *wyborowego* z drzew *starych* i wielkich, a wnet zapoznamy się z gatunkami godnemi rozpowszechnienia.

(Dokończenie nastąpi).

Pierwsza poznańska fabryka mięsa z roślin. .

(Patrz ogłoszenie).

Wobec niebywałej drożyzny mięsa, którą władze rządowe, mimo licznych zapewnień od zielonego stolika nie usuwają, przemyśliwają ludzie nad sposobem zastąpienia mięsa innemi pożywnemi pokarmami.

Nowy produkt, który pewna firma poznańska po długich badaniach wymyśliła, i świeżo do opatentowania przedłożyła, bez wątpienia przyjętym będzie ku ogólnemu zadowoleniu jako ludowy środek spożywczy. Wynalazca nazwał produkt ten „mięsem z roślin“, ponieważ sporządzony jest z wyskoków różnych roślin, służących głównie do wytworzenia mięsa u organizmów zwierzęcych, których wartość pożywna nie ulega kwestyi: *„Mięso z roślin“* jest, pomimo wielkiej wartości pożywnej bardzo tanie, nadzwyczaj czysto sporządzone, a upieczone zeń kotlety smakują znakomicie, to też nowy ten fabrykat powinien ogólne zjednać sobie uznanie nie tylko między jaroszami, ale także między szerokiemi masami publiczności jako wyśmienita postna i tania potrawa, gdyż porcya na 4 osoby kosztuje tylko 20 fenygów.

DZIAŁ KOBIECY.

Życie kobiet w Finlandyi.

Mało jest krajów w Europie, o którychby w reszcie ucywilizowanego świata wiedziano tak mało, jak o Finlandyi. Nawet Bedeker, opowiadający nieskończenie wiele o każdym kawałku ziemi, zamyka swoje opowiadanie o kraju tysiąca jezior — na trzech, czy czterech stronnicach. Turysta, który wypadkowo wybierze się do Finlandyi, zwraca najpierw swe kroki ku spadkowi Imatry i do Hölsingforsu, nie przypuszczając może wcale, że dalej ku północy istnieją rozległe przestrzenie ze wspaniałemi szumiącemi wodospadami, z niezmierzonemi lasami, i że przestrzenie te dochodzą aż do koła polarnego. Właśnie tam, gdzie silna przyroda okazuje liczne swe powaby, podróżny zwykle się cofa. Dlaczego? Trudno na to odpowiedzieć; lecz moda, dyktująca swe prawa, nie zrzeka się ich, gdy chodzi o cele podróży, i Finlandya, z wyjątkiem wodospadu Imatry, jest prawie zupełnie nieznana.

Pomimo to, niedalekim jest może czas, gdy napływ cudzoziemskich podróżnych zjawi się w tym kraju i dotrze do najpółnocniejszych jego kresów. Wówczas niezawodnie ceny się podwyższą, zaprowadzone będą nowe środki komunikacyi wraz ze zwyczajami europejskiemi, lecz wskutek tych zmian dziki i poetyczny kraj utraci dużo swego marzycielskiego powabu, i nie wiemy doprawdy, czy w interesie jego dobra mamy mu zmian tych życzyć.

Pomimo, że istotnej nędzy w Finlandyi jest mało, wogóle jednak jest to kraj ubogi i mógłby potrzebować pieniędzy innych państw. Grunt jego jest kamienisty, lato trwa krótko, a rolnicy tamtejsi tylko dzięki usilnej i wytrwałej pracy ciągną ze swej ziemi bardzo małe dochody. Mięso i ryby są wprawdzie bajecznie tanie i tem tańsze, im bliżej północy, ale jarzyny dochodzą do zdumiewająco wysokich cen. Gospodyni domu finlandzka musi już rozporządzać większemi dochodami, jeśli chce podawać na stół świeże jarzyny. Owoce jadają tam tylko w dni świąteczne, śliwki dowożą z dalszych okolic w niewielkiej ilości, ponieważ przy transporcie łatwo ulegają zepsuciu, morele i brzoskwinie są zupełnie nieznane, a winogron kupcy rosyjscy dostarczają za wysoką cenę. Na północy Finlandyi rosną wprawdzie dwa rodzaje jagód u nas prawie zupełnie nieznane, ale i te taniemi nie są. Usiłowano zaprowadzić uprawę porzeczek, ale próby te wydały tak słabe wyniki, że musiano ich zaniechać. Przez morze przesyłane być mogą tylko czarne jagody.

Ponieważ w Finlandyi słodycze mają o tyle większe powodzenie, że używanie likierów i napoi wyskokowych surowo w niej jest wzbronione, zatem finlandzkie kobiety podają często leguminy z rabarbarum i suchych śliwek. Podziwiać musimy ile przetworów wyrabiają z tych produktów! Pieką ciasta i leguminy, przyrządzają konfitury i zupę, a nawet powszechnie lubioną czerwoną kaszę. Kasza ta, jest to po prostu marmolada z upieczonych śliwek, zaprawiona sokiem cytrynowym lub jagodowym. Do niej podają mleko i śmietanę. Z pomidorów, przywożonych do Finlandyi, przyrządzają również smaczną leguminę.

Gospodynie w Finlandyi są nietylko pracowite, ale i wynalazcze, i umieją z wszystkiego uczynić właściwy użytek. Pomimo przeciążającej je pracy, znajdują zawsze jeszcze dosyć czasu, aby kształcić się duchowo. W Finlandyi poziom oświaty jest bardzo wysoki, *analfabetów prawie wcale niema*, a kobiety walczą o swe równouprawnienie z mężczyznami.

Niezależnie od większego lub mniejszego stopnia zamożności, wszystkie panny kształcą się w tym celu, aby mogły zapracować na swe utrzymanie i zdobyć w przyszłości niezależne stanowisko.

Częściej niż u nas spotyka się w Finlandyi kobiety pracujące w bankach, w zakładach fotograficznych, w zarządzie telegrafów, kolei żelaznych i na poczcie. W Uleaborgu naprzykład drugorzędnym urzędnikiem na poczcie była kobieta. Miała nad sobą jednego tylko zwierzchnika, ale cały zastęp mężczyzn podlegał jej władzy.

Marzeniem każdej młodej Finlandki są studya uniwersyteckie, jeżeli rodzice z jakiegobądź powodu nie zgadzają się na ten projekt, to córki ich chwytają się nieraz oryginalnego środka.

Już w pamiętnikach matematyczki, Zofii Kowalewskiej, czytamy, że naśladując przykład licznych studentek Rosyanek, uciekła z domu rodzicielskiego ze studentem i wyszła za niego li-tylko dla odbywania studyów uniwersyteckich. Miłość w tym związku nie grała żadnej roli. Było to tylko małżeństwo pozorne. Tego rodzaju małżeństwa studentów ze studentkami nie są bynajmniej w Finlandyi rzadkością. Dwoje ludzi może żyć zawsze oszczędniej, niż jedna osoba; naturalnie, o ile oboje pragną zrzec się komfortu: mieszkają w izdebce na poddaszu, młoda żona gotuje na kuchence naftowej skromne posiłki, szyje i pierze dla siebie i małżonka.

O studentkach, spotykanych często na ulicy, możnaby dużo jeszcze opowiadać. Jako oznakę swej godności akademickiej noszą białe czapki; ale nie wszystkie Finlandki, mianujące się studentkami, są rzeczywistemi studentkami „Alma mater,“ gdyż wiele pomiędzy niemi jest uczennic innych szkół, a nawet zakładów naukowych dla doroslych; ale ponieważ i te drugie noszą białe czapki, przeto zewnątrz niczem się nie różnią od tamtych. Prawie w każdem finlandzkiem mieście można kilka takich studentek spotkać, a ulicom Hölsingforsu udzielają one specyalnego charakteru. Na zakończenie wspomnieć jeszcze muszę, że kobiety finlandzkie posiadają duże zdolności do handlu i gospodarstwa i odznaczają się wielkim zapałem w zdobywaniu wiedzy.

C. M.

Drobiazgi.

Chcąc zachować dłużej w świeżości cięte kwiaty, kładzie się do wody kilka kawałków drzewnego węgla, albo parę ziarnek soli amoniaku. Dobrze jest także obcinać codzień końce łodyg — i unikać zawsze w bukietach rezedy, której mięsiste łodygi psują się prędko, i wywierają zabójczy wpływ na inne kwiaty — zwłaszcza róże. Goździki należą do najtrwalszych kwiatów — także lilie, niezapominajki, chabry i gladiolusy, których pączki rozwijają się w wodzie.

ROZMAITOŚCI.

Jak długą jest wieczność? Pewien młody człowiek w Londynie został zamknięty przez nieuwagę grabarza w grobowcach podziemnych. Pochowano bowiem jego narzeczoną, zrozpaczony młodzieniec zemdlał, w ciemności niedostrzeżono go i zamknięto. Gdy się nareszcie ocucił, dawno przebrzmiały ostatnie kroki przechodniów, grobowa cisza otaczała go w około. Młodzieniec wstaje, natęża słuch, wzrok, lecz nic nie widzi, nic nie słyszy — ciemno i cicho jak w grobie.

Powoli zdaje sobie sprawę z okropnego położenia. Czołga się po ziemi, wyciąga ręce, dotyka — nic w około jak trumny, szkielety! Zamknięty, odcięty od świata grubym murem katakumb. Posuwa się dalej w nadziei, że natrafi na jaki otwór w murze, napróżno. Na szczęście przypomina sobie, iż ma w kieszeni zapałki i stoczek. Wyjmuje, zapala i przy jego blasku odnajduje nareszcie drzwi grobowca. Gasi stoczek, ażeby oszczędzić wosku, który w najgorszym razie może go ochronić od śmierci głodowej. A może też kto usłyszy pukanie jego i wołanie o pomoc? Zdaje mu się, iż musi już być późny wieczór. Uczuwa głód, połyka część wosku. O radości! w kieszeni znajduje scyzoryk o trzech ostrzach, wywierci dziurę we drzwiach, usłyszy kto prędzej wołanie. Drżąc, zabiera się do dzieła, lecz z twardej dębiny ledwie pojedyńcze włókna wyłupać się dadzą. Nie ustaje jednakże w pracy, wtem — pęka nożyk. Młodzieniec otwiera drugie ostrze, wierci dalej; wywiercił dziurkę jak czubek palca, ale złamał drugi nożyk. Zimny pot oblewa mu skronie. Ostatniem ostrzem wierci dalej, krwawią się pokaleczone palce, serce bije jak młotem, krew do skroni uderza; młodzieniec siada, ażeby odpocząć. Chyba noc całą pracuje i dzień już na świecie! Wstaje, pracuje jeszcze ostrożniej, ażeby ostatniego nożyka nie złamać. Wtem zaskrzypiał nożyk — co to jest? Drzwi z zewnątrz stalą okute! Stoi zdrętwiały. Zgasła iskierka ratunku. Głód dokucza, zdaje się młodzieńcowi, że już z jakie 24 godzin spędził w lochu. Zjada drugą część stoczka. Znużony śmiertelnie biega tu i tam, broniąc się przed uśnięciem, a może usłyszy czyje kroki. Pot strumieniem spływa mu z czoła — zmysły, pamięć ginie, jeszcze jedna doba, a nie wyżyje! Lecz ach! głosy! czy to sen?! Zgrzyt klucza — otwierają się drzwi. Smuga światła oblewa młodzieńca, lecz on nic nie widzi, nic nie słyszy, zemdlał.

Na całe życie pozostały ślady okropnego zdarzenia na twarzy młodzieńca wyryte. Zapomniał się śmiać i weselić a włos zbielał jak śnieg.

Zapytasz się może, miły czytelniku, ile też czasu spędził ów młodzieniec w lochach podziemnych? Otóż nie 2 dni i 2 noce, jak sądził, godzinę zaledwie i 17 minut.

* * *

Sprawa rozwodowa ks. Koburskiej. Z Gotha donoszą: W tutejszym sądzie krajowym odbyła się ostateczna rozprawa w procesie rozwodowym ks. Koburskiej. Wobec sądu zaprotokołowano ugodę zawartą przez obie strony w Paryżu. Po zamknięciu rozprawy przyjęte zostały obie strony prawne przez ministra Richtera, który wręczył im odręczne pismo ks. Ludwiki, zrzekając się przynależności do domu koburskiego. W wyroku kwestya zawinienia nie jest poruszoną a podkreślono tylko, że opuszczenie małżonka przez księżnę jest dostatecznym powodem do rozwodu. Koszty postępowania sądowego nałożono na księżnę. Księżna Ludwika otrzymała od ks. Filipa Koburskiego jednorazowo sumę 400000 kor. a nadto otrzymywać będzie odtąd miesięcznie po 7000 koron. W końcu od króla belgijskiego otrzyma po 50000 koron rocznie.

* * *

Popłoch wojenny. „Köln. Volks Ztg.“ podaje wiadomość, że w Alzacyi i Lotarygii tak uporczywie krążą pogłoski wojenne, że ludność wycofuje na gwałt depozyta swoje z kas pożyczkowych i banków, robi zapasy żywności, a w całym handlu zastój zupełny. „Lothring. Volksstimme“, wychodząca w Metzu, donosi, że i z drugiej strony granicy Francuzi przez bank w Metzu znaczne sumy wysyłają do Anglii. Nawet i w kołach bardzo poważnych mówią tam głośno o wojnie.

* * *

Jubileusz Mozarta. Rodzinne miasto Mozarta, Salzburg, obchodziło dnia 27-go zm. 150 rocznicę jego urodzin. Komitet, postanowił między innemi zbierać składki na budowę „Domu Mozarta“ w Salzburgu.

* * *

Starokatolicki biskup Weber. W Bonn umarł starokatolicki biskup dr. Weber. Dr. Weber był księdzem katolickim i profesorem filozofii przy uniwersytecie w Wrocławiu. Po śmierci starokatolickiego biskupa Reinkensa w 1896 r. wybrano go na biskupa starokatolickiego. Z ks. Weberem zejdzie ze świata prawdopodobnie ostatni biskup starokatolicki, bo zwolenników tej sekty jest w Niemczech coraz mniej, a w innych krajach wcale ich niema.

Humorystyka.

Już oni to zrobią.

Fragment z komedyi historycznej:

„Konstytucya."

(*Gabinet cara w Peterhofie.*)

Osoby: *Car, hr. Witte*, prezydent ministrów, *Durnowo* minister spraw wewnętrznych.

Car. Nu da! Haraszo, Rewolucya w Moskwie stłumiona. Duże krasno, a szczoż Finlandya?

Witte. Kiepsko! Łotysze nagnali wsich nimeckich baroniw i opanowali kraj.

Car. Niczewo! Nic mi po baronach i tak — bo Nimcy taki syny, zrusyfikować się nie dadzą. Niech sobie tych baronów wszystkich hakata zabierze. Łootyszom dam autonomię a potem jakoś się to zrobi. — No a Polaki?

Witte (milczy, dyplomatycznie kręcąc głową).

Durnowo. O- Polaki, to moje dzieło. Oni przepadają za słowem „wolność" więc dobrze zrobił Eksc. Witte, że im zapowiedział „wolność".

Car (podskakuje na fotelu) Szto? Polakam wolność?

Witte. Tak -- ja ją obiecał, a Eksc. Durnowo ją przeprowadza...

Car (uspokojony nieco): Aha! No i jakże to pan robi?

Durnowo. Ich trzeba znać. U nich jak wolność — to wolność!... Tak ja im pozwolił kilka dni cieszyć się „konstytucyą" (Wszyscy uśmiechają się ironicznie) robić procesye i pochody — i to wsim: i patryotam i demokratam i socyałam i jewrejam „bundowcom". Ja znał, że oni wszyscy zaraz między sobą za łby się wezmą. Ja pozwolił im przez tydzień pisać co im się podoba, nawet na Eksc. Wittego i na mnie.

Car. Aha, rozumiem, a potem puściłeś na nich „czornyj sotni" i kozaków?...

Durnowo. Sochrani Boże! Ja czekał, aż wszystkie stronnictwa zaczną kipieć. Ja muszę przyznać, że byłem przez chwilę w strachu bo „umiarkowani" byli naprawdę umiarkowani. — Ale i na to znalazłem sposób. — Od czegoż są przebrani za Polaków — żandarmi i od czego „nożowcy", których my już od dawna wychowywali sobie w Warszawie. Zrobiło się! My pozwolili im grasować, robić pochody dzieci z czerwonym sztandarem, no — i nareszcie pozwolili strzelić raz do patroli. Wtedy my krzyknęli: Co to — — bunt? rewolucya? powstanie? — i ot był pretekst do odwołania całej wolności.

Witte. Dwadzieścia pism polskich zawieszono a wsi redaktory pod kluczem! ha ha!

Car. Haraszo! haraszo!

Witte (do Durnowa). Moje gratulacye Ekscelencyo!

Durnowo. To mój system. Teraz oni między sobą się mordują, a raczej mordują się „moi" socyaliści z „ich" socyalistami a jak sobie dobrze krwi upuszczą — to...

Car. To?

Durnowo. Eksc. Witte będzie mógł swojemi obiecankami danemi Polakom — zapalić cygaro...

Car. Brawo! Tylko jedna rzecz mnie martwi...

Witte i Durnowo (razem). O! o!

Car (śmiejąc się). Że p. Durnowo tak głupio się nazywa!

Durnowo. Niech będzie! Ja nawet umyślnie każę pisać w naszej „pressie", że wszystko robi p. Witte...

Witte. A ja każę pisać, że siedzę na dwóch stołkach, że moje stanowisko zachwiane..

Car. Aha, teraz rozumiem, co piszą o was, że jeden pod drugim dołki kopiecie.

Witte (śmieje się). Ha ha ha! Kopiemy — ale oba razem wielki dół, w który wpadnie — cała Konstytucya.

Car. O! zacni przyjaciele, szlachetni ludzie! (Podaje obydwom rękę). Konferencya skończona. Chodźcie ze mną na śniadanie, wypijemy zdrowie (śmiejąc się) — „Konstytucyi" i „autonomii polskiej". Ale ty, Durnowo, koniecznie wymyśl sobie inne nazwisko, a jak będzie „po robocie" to zrobię cię grafem.

(Zasłona spada.)

Niekarnawałowy karnawał.

Z powodu odwołania balów publicznych w roku bieżącym otrzymała redakcya „Pracy" od swoich Czytelników następujące listy.

I.

Szanowny etc.

Jeszcze podczas lata napisałem świetny felieton p. t. „Wjazd Księcia Karnawału w r. 1906," i to w stylu tak secesyjnym, że przy samem czytaniu felietonu, wszystkie włosy na głowie tańczyły *cack-walck*. A tu — redaktor powiada mi:

— Poszło do kosza, panie, a manuskryptów redakcya nie zwraca.

Jestem stratny na 10 marek z fenygami.

January Parnasiński.

* * *

II.

Lesia, Lisia, Losia i Lusia, czyli moje córy, z których żadnej dotąd jakoś nikt sobie wytańczyć nie chciał, wyprawiają mi co dnia w domu taki karnawał z powodu, że karnawału w tym roku nie będzie — (jak bym ja temu co był winien!) — że przeklinam karnawał, w którym wytańczyłem sobie moją Lasię, czyli magnifikę.

Z uszanowaniem

nieszczęśliwy ojciec

(Podpis nieczytelny).

* * *

III.

Udaję się do WPana Redaktora z prośbą może nieco osobliwą, ale zasługującą w każdym razie na uwzględnienie. Oto po świetnie odbytej kampanii karnawałowej zeszłorocznej, leczyłem się 3 miesiące, następnie odbyłem z doskonalem powodzeniem kuracyę masażową nóg i stóp, aby się przygotować godnie do tegorocznej batalii. I rzeczywiście czuję w sobie (osobliwie w nogach) taki wigor, że mógłbym przez cały karnawał walcować i obracać choćby 300-funtowe danserki. Tymczasem — wszystko na nic! Gdzież ja wyładuję teraz moją żywiołową energię — i jak powetuję wydatki na kuracyę, nie licząc strat, jakie ponieść muszę, w tylu gorących kolacyach!? Otóż WPanie, bądź łaskaw umieścić w swem cennem piśmie — ale bezpłatnie — taki anons:

„Pewien znakomity danser, z braku zajęcia, poszukuje zajęcia jako *froter*, w dystyngowanych domach. Robi szybko i punktualnie. Łaskawe oferty pod: „Uczciwa praca nie hańbi" prosimy składać w naszej Administracyi."

Z góry dziękując, pozostaję i pozostanę aż do roku 1907 z wdzięcznością

.. *Alfons Fikalski.*

Najtańsze źródło zakupu dla sprzedających z drugiej ręki.

Największa i jedyna polska parowa warzelnia smalcu i fabryka tłuszczy spożywczych

M. JEZIERSKI

Telefon Nr. 407. Poznań O. 1 **Adres do telegr.: „Emjot."**

ul. Południowa Nr. 4 (Südstrasse 4) naprzeciw rzeźni miejskiej

poleca hurtownie począwszy od 30 funtów

słoninę krajową i zagraniczną soloną i wędzoną,
smalec surowy, smalec topiony bardzo dobry w smaku
smalec swojski nadzwyczaj delikatnego smaku,
tłuszcz topiony z doprawą marka „Emjot."

własnej fabrykacyi. (prawn. zastrzeż.)

Tłuszcz topiony marka „Emjot" składa się z najlepszych tłuszczy spożywczych, posiada bardzo delikatny smak i zapach, zastępuje pod każdym względem **najlepszy smalec topiony** i jest od smalcu topionego **o 7 marek na centnarze tańszy** i tak samo do smarowania na chleb, jak gotowania i pieczenia ku zupełnemu zadowoleniu użytym być może. 48

Apteka pod Orłem we Wrześni.

Rynek 25. Telefon 31.

poleca **ulepek kokluszowy** doświadczony jak nadzwyczaj skuteczny na ciężki kaszel (koklusz) but. 1,75 m.

Krople św. Jakóba i krople Matki Boski częstochowskiej.

znakomicie działające przeciw wszelkim cierpieniom żołądkowym, but. 1,00 i 2 m. **Miód żywokostowy i koperkowy** na kaszel but. 0,50 i 1,00 mk. **Pigułki św. Józefa** przeciw zatwardzeniu but. 0,80 mk. **Pastylki purginowe** znakomicie działające na rozwolnienie u kobiet, pudełko 0,75 mk. **Maść na piegi i liszaje** po 0,50 i 1 mk. **Maść na obzięblizne** po 0,50 mk. Znakomite **wody i farby** na włosy (wypróbowane) po 1,50. i 2,00 mk. **Krople uniwersalne** uśmierzające natychmiast i wszelkie bóle, kurcze żołądkowe a 0,50 i 1 mk. **Wina medycynalne** i wszelkie inne medykamenta i preparaty po przystępnych cenach. Zawówienia wysyła się odwrotnie przez zaliczkę pocztową. 527

Osiadłem w Poznaniu jako lekarz.

Dr. med. Br. Szulczewski

Mieszkam 23

przy placu Sapieżyńskim nr. 8

i przyjmuję od godziny $8\frac{1}{2}$—$10\frac{1}{2}$ przed poł.
i „ „ 3—5 po poł.

Telefon nr. 1494.

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego
Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do $4\frac{1}{2}$ proc.** wedle umowy. 19

Stanisław Augustyniak

Kościan,

ul. małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5.
Telefon Nr. 119. 56

Handel drzewa budulcowego,

belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.

Deski w różnych grubościach $\frac{1}{2}$, $\frac{3}{4}$, $\frac{4}{4}$, $\frac{5}{4}$, $\frac{6}{4}$, 2, $2\frac{1}{2}$, 3 calowe.

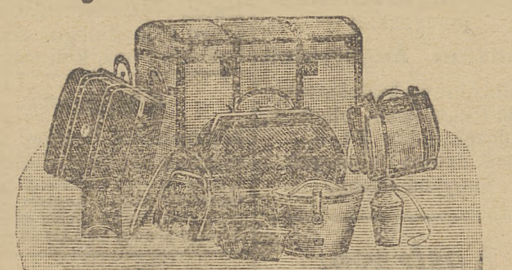
Skład dzwon bukowych,

dzwona gięte do powozów, jesionowe, śpic dębowych oraz bukowych blochów.

PAPY NA DACHY

w doborowym gatunku, po cenach bardzo
Hurtownie. nizkich. **Detalicznie.**

Fabryka kufrów i torb



98

poleca swe wyroby premiowane w Poznaniu i Lwowie.

Kufry ręczne
Kufry fałdowe
Kufry męzkie
Kufry damskie
Kufry trzcinowe
Kufry do prób

N. Wolniewicz,
siodlarz kiesieniarz
Bazar,
ulica Nowa 8.

Torby szkolne
Torby do podróży
Torby fałdowe
Torby do pieniędzy
Torby do listów
Torby myśliwskie

szelki, portmonetki, necessery, siodła, trenzle, czapraki, koniki, piłki i poduszki skórzane.

Do przedsiębiorstwa budowlanego

oraz **handlu drzewa i tartaku** od 12-tu lat istniejącego i dobrze prosperującego, w jednem z miast w prowincyi, szuka się

wspólnika cichego

lub też czynnego z kapitałem 15—20 tysięcy Marek. 58

Łaskawe oferty uprasza się do Eksped. „Pracy" pod lit. **N. 58.**

Aptekarza 248

Z Rittera
HELOS BALSAM

radykal. środek **przeciw nagniotkom** wypróbowany od lat 20 usuwa nagniotki i stwardłą skórę. Flaszka **50 f.**

Poznań, św. Marcin 20,
filia Berlińska 14.

Dobrze zaprowadzony od 8-miu lat

handel drogeryjny

połączony **z korzeniami i żelazem, jest z domem lub bez domu** korzystnie do sprzedania. Dobra egzystencya dla rodaka. Oferty uprasza się

M. Ptak, Priment (Bomst). 9

Rutynowanego

starszego drogerzystę

oraz

ucznia

do drogeryi przyjmie zaraz

J. Janicki,
Nakło 59

2 uczni

od zaraz lub później do składu bławatów poszukuje 62

I. Ressel & Co.
Toruń.